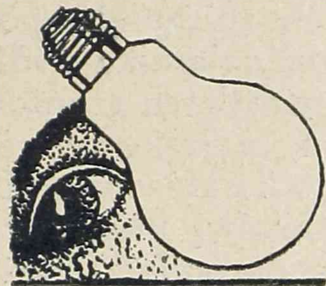
ŚWIAT

N • 12
19 • III
1932



A. LASZENKO

Poezja murów mauretańskich w Algierze: Meczet Sidi Abd el Rachmane



CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ŚWIAT

ROK XXVII

NR. 12

WARSZAWA, DNIA 19-go MARCA 1932 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Wobec piętrzących się podatków

ANKIETA „ŚWIATA"

Od kilku lat trwający już kryzys gospodarczy unieruchomił jedne warsztaty pracy, ograniczył wydajność innych; najgorzej zaś odbił się na rolnictwie, pozbawiając je jakichkolwiek dochodów. Wszystko to ujemnie wpłynęło na zdolność podatkową społeczeństwa. Nie może ono nawet w połowie podołać tym ciężarom, które nałożone zostały w czasach ogólnej pomyślności. To też zaległości podatkowe rosły w zastraszający sposób i sięgały już półtora miljarda złotych. Najsurowsze kroki egzekucyjne nic nie pomagały. Przeciwnie, wobec braku nabywców, sprzedawane z licytacji nieruchomości czy ruchomości szły za bezcen, doprowadzając do ruiny podatników i nie pokrywając należności skarbu. Obie strony były stratne.

Przedłużanie się tego stanu rzeczy groziło coraz większem wysychaniem źródeł podatkowych. Tymczasem, mimo wysiłków oszczędnościowych, nie można było doprowadzić do znacznego zredukowania budżetu państwowego; zagrażał mu deficyt.

W tych warunkach rząd zdecydował się na krok stanowczy: zgłosił i przeprowadził w Sejmie ustawę o ulgach podatkowych, polegających głównie na rozkładzie zaległych podatków na raty, a nawet częściowem lub całkowitem, zależnie od uznania władzy skarbowej, umorzeniu zaległości, pod warunkiem regularnego spłacania bieżących podatków.

Czy te środki, łagodzące nacisk fiskalny, uratują warsztaty pracy rolnej, przemysłowej, rzemieślniczej i handlowej, oraz pozwolą im przetrwać zwycięsko kryzys? Czy uczynią one zbyteczną całkowitą reformę polskiego systemu podatkowego, skleconego z pozostałości dawnych podatków państw zaborczych, uzupełnionych dobudówkami własnemi z czasów inflacyjnych? Gdzie poszczególne gałęzie wytwórczości narodowej widzą wyjście z tragicznego konfliktu między interesami skarbu, potrzebującego pieniędzy na konieczności państwowe, a trudnościami życia gospodarczego, nie mogącego podołać obecnym obciążeniom podatkowym?

Na te pytania szukamy odpowiedzi u wybitnych przedstawicieli handlu, przemysłu, rzemiosła i rolnictwa, oraz u znawców naszej skarbowości. Aby ustrzec się w tej ankiecie jakichkolwiek akcentów politycznych, zwróciliśmy się do osób, niezwiązanych z żadną partją polityczną, znanych z umiaru w ocenie sytuacji i zdolnych do największego objektywizmu.

Rządowców i opozycjonistów słyszeliśmy dosyć z trybuny sejmowej; niechajże czasem dojdą do głosu obywatele bezstronni i niezależni.

R.

GŁOS PRZEMYSŁU

B. minister Pracy i Opieki Społecznej, a obecnie prezes zarządu koncernu Górniczo-Hutniczego Modrzejów - Hantke, oraz prezes Zarządu Szkoły Nauk Politycznych,

p. LUDWIK DAROWSKI,

spodziewa się, że wprowadzenie w życie nowej ustawy odbije się dobroczynnie na rolnictwie. Rolnicy, przez ulgi w spłacie zaległości podatkowych i umorzenie kar za zwłokę, otrzymają możność płacenia bieżących należności. W ten sposób przywrócona zostanie pewna równowaga w budżecie rolnictwa, którego zachwianie stało się punktem wyjścia wszystkich nieszczęść gospodarczych.



LUDWIK DAROWSKI

— Jestem przekonany, — mówi p. Darowski, — że gdy rolnictwo zacznie się dźwigać z upadku, niewątpliwie odbije się to na wpływach Skarbu Państwa i wpłynie pozytywnie na ogólną sytuację. Odczuje to dodatnio w pierwszym rzędzie wielki przemysł, tak dobrze Łódź, jak Zagłębie Dąbrowskie i Górny Śląsk. Nasz wielki przemysł w pierwszym rzędzie jest zależny od rynku wewnętrznego. Ta zależność spotęgowała się jeszcze od momentu załamania się funta angielskiego. Dla naszego eksportu powstały nowe trudności, a w niektórych wypadkach został on wprost sparaliżowany. Pewne ożywienie, jakie niechybnie powinno nastąpić w rolnictwie — da zatrudnienie naszemu przemysłowi, który cierpi przedewszystkiem na brak zamówień. Rolnictwo przeszło od dwuch lat prawie nic nie kupuje. Jeszcze w roku 1929 nie można było dostać odrazu ze składu siewnika, lecz trzeba było zamawiać na 6 tygodni naprzód. To samo było z nawozami sztucznemi. Obecnie rolnik wyciąga stare maszyny rolnicze, reperuje i łata, aby tylko nie kupować nowych. Poprawa więc sytuacji w rolnictwie będzie zarazem poprawą sytuacji w przemyśle.

— Najważniejszą jednak rzeczą dla całego życia gospodarczego — kończy p. minister Darowski — jest przywrócenie zaufania w dziedzinie kredytowej, bez tego bowiem nawet poprawa w rolnictwie nie da znaczniejszych wyników. Nasze banki prywatne, oparte przeważnie na krótkoterminowych kredytach zagranicznych, pełnią rolę naogół zwykłego dyskontera. W czasie dobrej konjunktury udzielają kredytów z łatwością, dbając tylko o jego wysokie oprocentowanie, natomiast przy pogorszeniu się konjunktury następuje ucieczka bez oglądania się na to, co stanie się z warsztatami pracy. Uzdrowienie więc dziedziny kredytowej staje się naglącą koniecznością dla poprawienia ogólnej sytuacji gospodarczej w kraju.

OPINJA ROLNICTWA

Członek Zarządu Głównego Związku Ziemian,

p. STEFAN GORSKI,

tak charakteryzuje sytuację:

— Żadna dziedzina naszego życia nie znajduje się obecnie w tak ciężkich warunkach, jak rolnictwo, stanowiące podstawę gospodarczą Polski. Ziemiaństwo obciążone jest wielokrotnemi podatkami państwowemi, sejmikowemi, gminnemi; dochodzą jeszcze świadczenia socjalne. Tymczasem olbrzymia większość ziemian nie jest w stanie opłacać podatków z powodu całkowitego zastoju i niskich cen na ziemiopłody, nie pokrywających nawet kosztów produkcji. To też projektowana ustawa ulgowa w opłacie podatków państwowych jest zarządzeniem bardzo potrzebnem i da napewno dobry wynik, pod warunkiem, że będzie jedyną formą pomocy, jakiej rolnictwo od rządu oczekuje. Już pierwszą, pomyślną jaskółką jest zarządzenie ministerstwa skarbu o wstrzymaniu egzekucji, celem ściągnięcia powstałych przed 1 października 1931 r. zaległości w podatkach gruntowym, dochodowym, majątkowym i spadkowym. Ulga ta stosowana będzie do tych płatników, którzy regularnie wpłacać będą podatki bieżące. Dla punktualnych płatników mają być również zniesione kary za zwłokę od zaległości, co stanowi poważną rubrykę w świadczeniach fiskalnych. Nowa ustawa przewiduje też zmianę w sposobie ściągania należności. Zarządzenie ministerstwa skarbu nakazuje przy egzekucji unikać kroków, któreby utrudniały prowadzenie gospodarstwa rolnego, zaleca zaś kierować egzekucję na przedmioty, które z samą gospodarką nie są wcale, albo tylko luźnie związane, nie obejmować zaś sekwestrem inwentarza żywego oraz przestrzegać norm co do pozostawienia zboża i ziemiopłodów w ilości niezbędnej do prowadzenia normalnego gospodarstwa.



STEFAN GORSKI

Spodziewamy się też pewnych korzyści z rozporządzenia ministerstwa spraw wewnętrznych w sprawie egzekucji za podatki sejmikowe i gminne, które były dotychczas jedną z przyczyn naszej ruiny. W myśl tego rozporządzenia, nie wolno będzie sprzedawać na licytacjach ruchomości poniżej połowy wartości ceny szacunkowej. Dotychczas zasada taka nie obowiązywała i dobytek ludzki marnowano bez korzyści dla wierzyciela, a z ruiną dla dłużnika. Pozatem strona zainteresowana będzie miała prawo zawezwać do szacunku dwóch biegłych, czego dotychczas nie stosowano.

— Słowem, nowa ustawa — rekapituluje p. Gorski — jest niewątpliwie zarządzeniem dobroczynnem. Traktować ją jednak musimy, jako wstęp do dalszej pomocy dla rolnictwa, aby je podnieść z rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znajduje się obecnie.

ZDANIE HANDLU

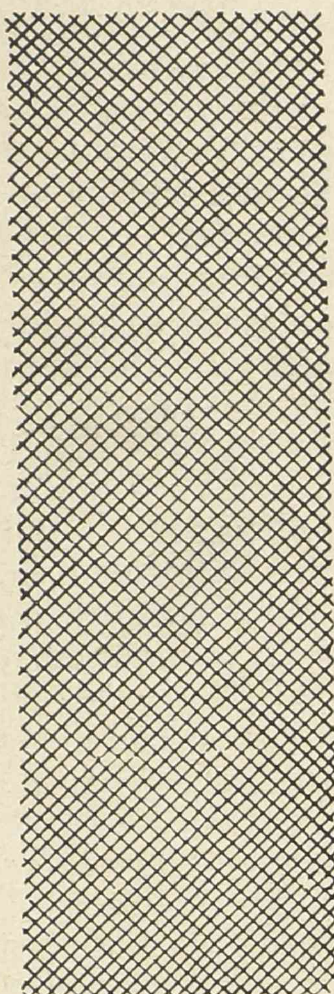
Współwłaściciel starej, zasłużonej firmy warszawskiej „Krzysztof Brun i Syn",

p. HENRYK BRUN,

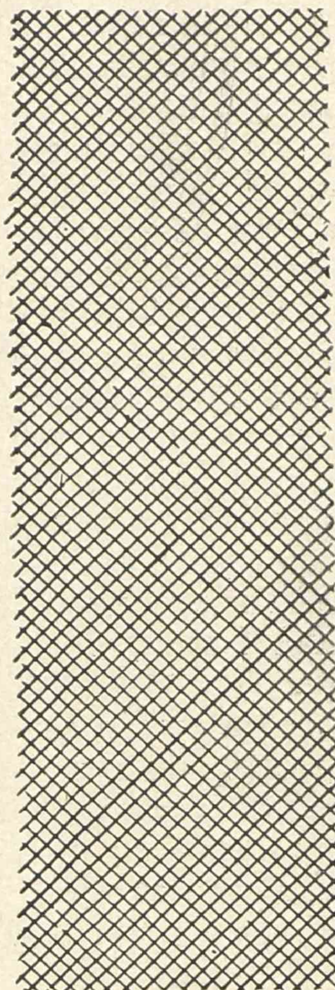
wyraża opinję następującą:

— Projekt ulg podatkowych do-

JUBILEUSZOWA WYSTAWA XAWEREGO DUNIKOWSKIEGO
W INSTYTUCIE PROPAGANDY SZTUKI









1. Głowa Mickiewicza
(Fragment pomnika)

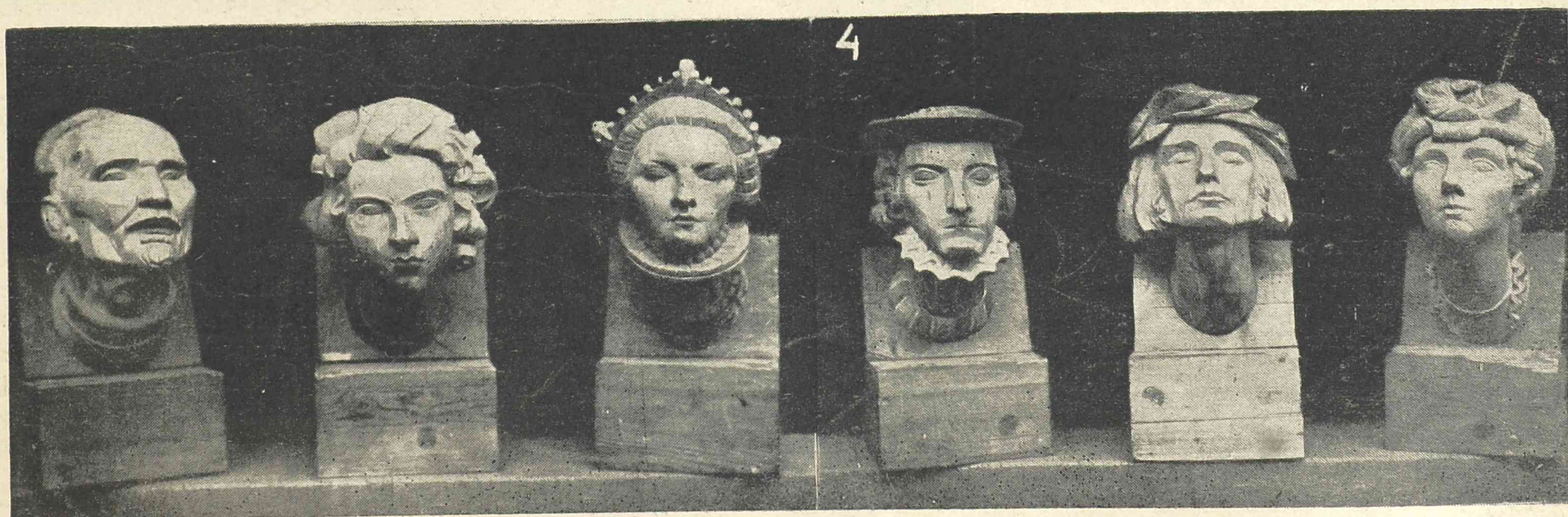
2. Portret Solskiego

3. Portret pani Sch.

Fot. Jan Ryś

4. Głowy do sali poselskiej na Wawelu





tyczy w danej chwili wyłącznie ziemiaństwa i nie rozciąga się na kupiectwo, znajdujące się w niemniej ciężkiem położeniu. W niektórych dziedzinach handlu zaległości podatkowe sięgają całego roku, a kupcy nie mogą ich spłacać, bo poprostu nie mają z czego, najbliższa przyszłość zaś nie przedstawia się bynajmniej różowo. Dla scharakteryzowania sytuacji należy zaznaczyć, że w ciągu ostatnich trzech lat obroty handlowe zmniejszyły się o jakie 60%. Swego czasu rzesze kupieckie starały się o zmianę podatku przemysłowego od obrotu i zmianę tę uzyskały. Reforma tego podatku weszła w życie i przyniosi kupiectwu znaczną ulgę, lecz spodziewanego efektu nie wywołała ze względu na ciężki stan, w jakim się znajdujemy.

W danej chwili organizacje nasze czynią starania, aby ustawa o ulgach i prolongatach podatkowych rozciągnięta została i na sfery kupieckie. Prowadzone są w tej materji w ministerstwach rozmowy o charakterze nieoficjalnym. Mamy nadzieję, że nie będą one gołosłowne i dadzą spodziewane rezultaty ze względu na obecny stan kupiectwa, o którego ratunku miarodajne czynniki pomyślały niestety zbyt późno. Dziś bowiem położenie kupiectwa jest tego rodzaju, że nawet redukcja obowiązujących stawek podatkowych choćby do połowy nie uratowałaby sytuacji. W każdym razie wierzymy, że w łonie rządu sytuacja kupiectwa jest tematem poważnych narad i że prawdopodobnie przedsięwzięte będą kroki, mające na celu poprawę naszego położenia, tak konieczną ze względu na obopólny interes. O ile bowiem system podatkowy nie ulegnie zmianie i będzie nadal kroczyć tą samą drogą, kupiectwo polskie w czasie już bardzo krótkim nie będzie mogło płacić podatków i siłą rzeczy zacznie jeszcze bardziej kurczyć się i zanikać, pogłębiając i tak już dostatecznie ostry kryzys.

(Dok. nast.). *j. s. w.*

Samobójstwo króla zapałek

Tragiczna śmierć Ivara Kreugera, króla zapałczanego, miljardera, prowadzącego interesy w 45 państwach świata, rzuca jaskrawe światło na kryzys ustrojowy, jaki przeżywamy.

Kreuger, pochodzący ze szwedzkiej rodziny, która już w trzeciem pokoleniu związana jest z przemysłem zapałczanym, należał do tego typu międzynarodowych potentatów gospodarczych, co Stinnes. Inżynier-architekt z wykształcenia, wcześnie szuka szczęścia w Ameryce. Nie znajduje go tam i powraca do ojczyzny, aby wespół z Tollem założyć w Sztokholmie firmę budowlaną. Wprowadza w niej amerykańskie metody pracy. Buduje szybko, więc tanio. Dopiero w r. 1913 rozpoczyna interesować się przemysłem zapałczanym. Z nieodstępnym Tollem zakłada fabrykę zapałek, w r. 1917 łączy dwa walczące z sobą szwedzkie trusty zapałczane w jeden koncern, stając na jego czele.

Tego mu jeszcze mało. Sięga zagranicę. Jednem z pierwszych państw, któremu ofiarowuje pożyczkę pod zastaw monopolu zapałczanego, jest Polska. Dzieje się to w 1925 r. za rządów Wł. Grabskiego i wywołuje namiętną dyskusję w naszym Sejmie. Stopniowo zasięg wpływów Kreugera rozszerza się na coraz to nowe państwa. Wszystkim pożycza pod warunkiem kontrolowania przemysłu zapałczanego. W roku 1930 podlega mu już 75% światowej produkcji zapałek w 45 państwach Europy, Ameryki i Azji.

Ivar Kreuger przenosi się do Paryża. Sztokholm, będący dotychczas centralną jego siedzibą, okazuje się punktem zbyt oddalonym i źle położonym. Ale pozostaje on główną bazą operacyjną „króla zapałek". Stamtąd czerpie on fundusze na kapitalizowanie swych przedsiębiorstw, a przynajmniej przepuszcza przez banki szwedzkie zdobywane w Ameryce, Anglji, Francji pieniądze. Zapałki stają się najbardziej umiędzynarodowionym towarem, koncern zapałczany najbardziej scentralizowanym przemysłem świata. Wszystkie jego nici trzyma w swych rękach Ivar Kreuger.



IVAR KREUGER

Ten potentat finansowy jest człowiekiem niezwykle skromnym, niemal odludkiem. Stary kawaler, małomówny, spokojny, całą utajoną energję zużytkowuje w jednym kierunku — opanowania rynku zapałczanego. Innych ambicji ani namiętności nie ma. Oddaje się pracy gorączkowo, jakby chciał w niej zapomnieć o sobie. W istocie, coś go gryzie. Może to nieuleczalna choroba, może pustka samotnego życia, może przeczucie katastrofy finansowej. Smutne oczy miljardera patrzą w dal bezkresną.

Po powrocie z Ameryki do Paryża, w dniu zgromadzenia rady naczelnej międzynarodowego koncernu zapałczanego, wystrzałem z rewolweru kładzie kres swej doczesnej wędrówce.

Ten jeden wystrzał — to jakby eksplozja dynamitu pod całą Szwecją. Zbiera się nagle rada ministrów, obraduje przez całą noc parlament, ogłasza się nagwałt moratorjum, zamyka banki, zawiesza operacje giełdowe; finanse państwowe i prywatne zasobnego, doskonale zorganizowanego, prosperującego kraju zostają podważone wskutek nagłej śmierci jednego człowieka. W kilkudziesięciu innych państwach cała dziedzina ważnego przemysłu jest z tego powodu zagrożona. — Tak daleko została już posunięta centralizacja kapitalistyczna.

Ciekawe, że znakomity pisarz rosyjski — Ilja Erenburg jakby przewidział los „króla zapałek". W powieści swej „Jedyny Front" wprowadza go, jako głównego bohatera, pod nazwiskiem Olsohna. Karjera jego żywo przypomina dzieje Ivara Kreugera; zdobywa on miljardy, uzależnia od siebie przemysł zapałczany całego świata, ale nabawia się śmiertelnej choroby sercowej i kończy nagle, wywołując krach powszechny.

Czyżby Erenburg był jasnowidzem? A może raczej Kreuger czytał książkę pisarza rosyjskiego, zobaczył swego sobowtóra i przejął się tragicznym jego losem. Obsesja duchowa mogła doprowadzić do samobójstwa.

g.

WYBORY PREZYDENTA W NIEMCZECH. Kanclerz Rzeszy niemieckiej, dr. H. Brüning oddaje swój głos w lokalu wyborczym



Ex-Król hiszpański Alfons, jako książę Toledo, zwiedza obecnie Egipt. W świcie znajduje się Książę Miranda

Fot. New-York Times



12)

W ZWIERZYŃCU AFRYKAŃSKIM

Na skraju kępy leśnej spostrzegam zdala parę czarnych plam. Przez lornetkę rozpoznaję pięć sztuk dużych czarnych bawołów, spokojnie pasących się. Bawół jest dla mnie najpiękniejszem trofeum Afryki, gdyż będąc najniebezpieczniejszem zwierzęciem, zasługuje na miano godnego przeciwnika, z którym myśliwy musi się liczyć. Iluż nemrodów białych i czarnych ginie od straszliwych rogów tych napastliwych zwierząt, które nawet nie ranione zazwyczaj atakują z błyskawiczną szybkością i bardzo szybko unicestwiają swe ofiary. Nie mogłem się powstrzymać od chęci zrobienia próby podejścia ich, choć teren zupełnie nie nadawał się ku temu.

Zatoczywszy więc ogromne koło, pod osłoną kępy drzew dracenowych i akacji zaczynam stado podchodzić. Gałęzie kolczaste tną niemiłosiernie, każdy krok trwa wieczność. Nareszcie, gdy już przerzedza się lasek i na otwartą mam wydostać się polanę, słyszę wyraźny tentent racic. Wypadam z zarośli i widzę oddalające się stadko. Strzelam pięć razy pod rząd bez skutku. Ledwie zdążyłem wsunąć nowy magazyn, gdy stado, opisawszy półkole, w pełnym galopie idzie zpowrotem naukos w stronę zarośli. Wyczekawszy odpowiednią chwilę, strzelam do pierwszej sztuki dwa razy. Widocznie źle trafiony bawół z ponurym rykiem oddala się, zamaskowawszy wyraźnie postrzał i ginie w wysokich trawach, odbiwszy się od towarzyszy. Biorę na cel następną sztukę, która po pierwszym strzale wywraca formalnego kozła przez łeb; reszta dopada zarośli i w nich pozostaje. Każę zdjąć rogi, mięso czarni rozchwytują między siebie. Naglę do pospiechu, aby rozbić obóz, tym razem bowiem, korzystając z większej ilości ludzi, zabrałem namiot i cały ekwipunek, aby jako tako wygodnie się urządzić. Ba, nawet leżak mam do dyspozycji, łóżko polowe, lampę naftową, gramofon i miednicę.

Do zachodu jeszcze pozostało 2 godziny, posyłam Izydora i paru ochotników, aby się rozpatrzyli w śladach nadrzecznych i zmiarkowali, gdzie ich jest najwięcej. Wrócili późno, całkiem po ciemku. Izydor zapewnia, że „tembu mingi sana" [1]) i wróży pomyślny rezultat. Długo przy ognisku dyskutuję z mymi ludźmi nad zorganizowaniem naganki, a głównie wyborem miejsca dla siebie na stanowisko.

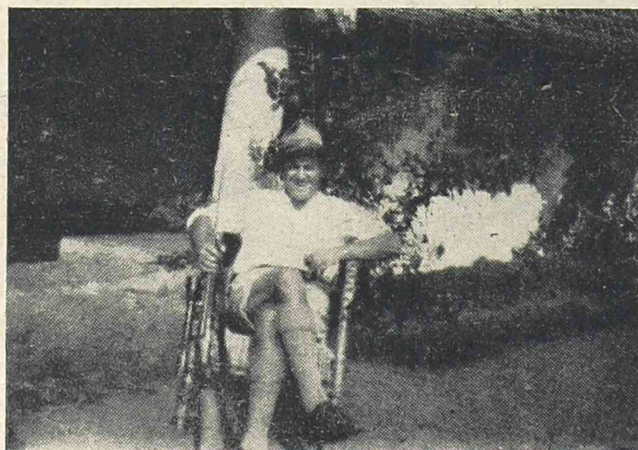
Dnia następnego udaję się z najlepszymi ludźmi, aby rozpoznać dokładnie teren. Pomiędzy dwoma płaskowzgórzami biegnie dość szeroki parów, idący ku rzeczce. Tropów świeżych dużo. W tem miejscu wśród konarów wysokiego drzewa przygotowuję „ambonę", kazawszy uprzednio wyciąć zbyteczne konary, aby mieć widok niczem nieskrępowany wokoło. Drabinka pleciona z lian kompletuje tę zasadzkę. Na dziś pod wieczór generalna próba tego oryginalnego polowania. Po sutem śniadaniu, składającem się z ozora bawolego z pikels'ami angielskiemi, groszku z puszki, placków słodkich z polenty, t. j. mielonych ziarnek kukurydzy, sałaty z owoców (ananasów, mango, avocatów) i czarnej kawy, z rozkoszą robię małą sjestę na leżaku, poczem z całą hordą czarnych wyruszam na tereny łowieckie.

Podzieliwszy nagankę na dwie grupy, jedną pod dowództwem Izydora, drugą pod komendą starego „tuku-tuku", udaję się na „ambonę", wysoko wśród gigantycznego drzewa ukrytą. Obie grupy, po zatoczeniu wielkiego koła, mają się zejść i, założywszy trzv kilometrowy szlak, pędzić co tylko sił w moim kierunku. Z jednym tropicielem włażę i czekam. Parę małp z gatunku „colubus" ciekawie przygląda się intruzom. Małe kolibry o jaskrawem upierzeniu wesoło kręcą się w pobliżu. Moc cudownie ubarwionych motyli krzyżuje się w powietrzu, rozpalonem zdaje się do maximum.

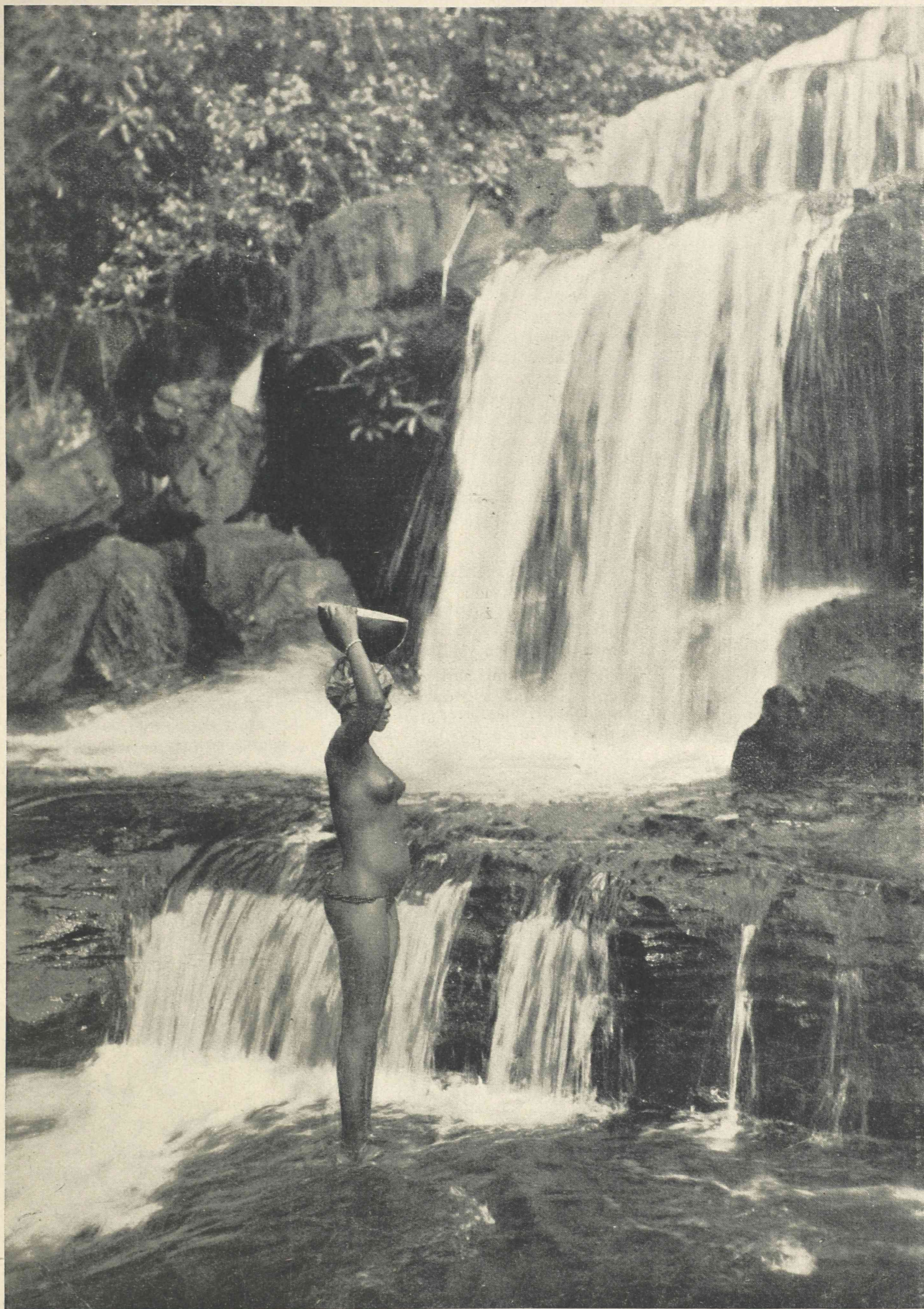
Czekam długą chwilę. Wtem krajowiec wskazuje mi coś w dali. Chwytam za Zeissa i widzę z niemałem wzruszeniem parę lampartów, cicho sunących w moim kierunku. Dostrzegam tylko ich grzbiety, które co chwila znikają całkiem wśród traw. Idą, co pewien czas przystają, oglądając się za siebie. Nagle zmieniają kierunek i zbaczają na szosę pod górę. Szkoda!

Po jakimś czasie spostrzegam trzy malutkie gazelle „dick-dick", o małych czarnych różkach; skubią trawę i zabawnie strzygą uszami. Stado cynocefali, t. zw. babunów, przechodzi w podskokach mimo. Wielki byk „claud du Cap" staje na sto kroków pod drzewkiem i ogryza młode pędy. Słoni ani widać. Naganka musi już być niedaleko.

[1]) Dużo słoni.



Z ROZKOSZĄ ROBIĘ MAŁĄ SJESTĘ NA LEŻAKU



Dziewczyna z plemienia Malinke przy wodospadach w Kindia



W OSZALAŁYM GALOPIE GINIE CAŁE STADO BAWOŁÓW W WYSOKICH TRAWACH

Naukos do mnie, między domniemaną linją naganki a rzeczką, sunie szybko stado czerwonych bawołów. Są niespokojne, krowy i młodzież pośrodku, byki na flankach i czele pochodu. Przystają na 150 kroków. Mam czas wybrać największą sztukę i z oporu ślę kulę powyżej karku. Ruluję w ogniu, a stado w naprężeniu stoi bez ruchu. Gorączkuję i chybiam. Stado jak zahypnotyzowane stoi, nie orjentując się, skąd dochodzi huk i nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Wypróżniam magazyn, kładąc jeszcze dwie sztuki pokotem, jedną prawie na drugiej. W oszalałym galopie ginie całe stado w wysokich trawach, dudniąc głucho w oddali.

Wkrótce pierwsi naganiacze zjawiają się na widowni zziajani i ociekający potem Izydor, przekonany, że ubiłem słonia, pyta, gdzie on leży. Pokazuję mu czerwone cielska bawołów. Krzywi się pogardliwie, nie mogąc się wydziwić, że słonie, które były w miocie, nie wyszły na mnie. A naliczono ich przeszło dwadzieścia sztuk, między któremi parę bardzo dużych.

Widocznie nietylko u nas w Polsce na polowaniach na grubszą sztukę zwierzyna „wychodzi bokiem", ale i w Afryce tegoż trzyma się systemu. Ileż to razy u nas zimą otropione i „pewne" dziki dochodzą już prawie do linji myśliwych, aby nagle cofnąć się na nagankę lub wyfilować bokiem niepostrzeżenie, a tak cicho i mądrze, aż podziw bierze. Wracam do obozu, gdzie czeka mnie niespodzianka dość niemiła. Boye pobili się z kucharzem, którego dość niebezpiecznie ranili kuchennym nożem w udo. Bestja drze się niemożliwie, a gdy mu ranę przemywam jodyną, wyje jak zarzynany wieprz. Dziwnie nie wytrzymali na ból ludzie! Obaj boy'e dostają po dwanaście uderzeń „szicote" na gołe siedzenie, z maestrją zaaplikowane przez najsilniejszego „tuku-tuku", poczem odbieram im cały ekwipunek, aby nie uciekli. Znam ich psychologję i za dwa dni już o tem przejściu i karze zapomną, a tak się cieszyłem myślą o dobrej kolacji ze świeżych mózgów bawolich! Trudno, puszka konserw, owoce i kukurydza pieczona w popiele wystarczy na dzisiaj.

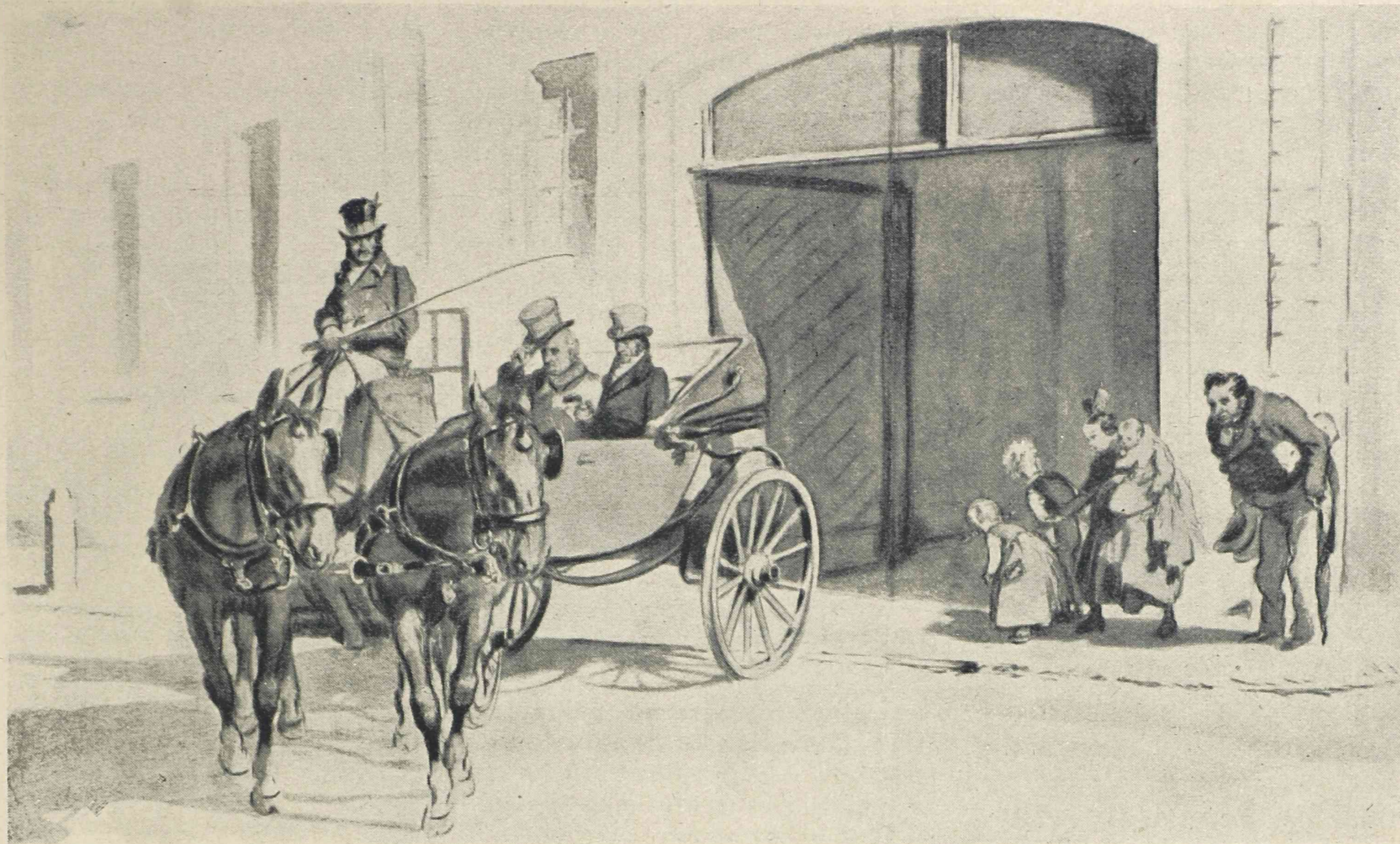
Trzeci mój i ostatni słoń padł następnego dnia całkiem przypadkowo. Zaledwie usadowiłem się na „ambonie", gdzie przebyłem, pykając z fajki, około godziny, gdy usłyszałem charakterystyczny kwik słoni i wkrótce wysunęło się z gąszczu całe stado, złożone z pięciu sztuk, w tem dwoje młodych. Skubiąc wysokie liście drzew, szły powoli w moją stronę. Na przedzie kroczył piękny byk, majestatycznie niosąc parę dużych kłów. Widziałem je, jak na dłoni, gdy nie wyczuwając niebezpieczeństwa, szły powoli wprost na mnie. Matki-słonichy bawiły się z małemi, wiążąc z nimi raz poraz swoje trąby. Gdy idący na czele słoń zbliżył się na odległość normalnego strzału, siedzący ze mną na drzewie czarny tropiciel przeciągle zawył, przysłaniając sobie usta ręką. Słonie stanęły jak wryte. Na ten moment czekałem, aby módz dokładnie umieścić kulę w mózgu. Był to trzeci — najładniejszy okaz, jaki dotąd zabiłem w Oubangui Chari. Kły ważyły, jak się później okazało, 39 i $37\frac{1}{2}$ klgr.

Stado to całkiem przypadkowo natknęło się na mnie. W dobre trzy kwadranse później nadeszli czarni naganiacze, pędząc przed sobą liczne antylopy i parę bawołów. Radość czarnego pospólstwa nie miała granic, gdy z dzikiemi okrzykami rzucili się na powalonego słonia, który natychmiast został rozćwiartowany i poszarpany na kawały.

Z radością opuściłem obozowisko, gdzie mało zaznałem spokoju, i forsownym marszem, zaopatrzony w wygodny „tipoy", wróciłem do Bangassu. Podziękowawszy komendantowi de Segouzac za opiekę nad autem i za przeprowadzenie w garażach kopalnianych małego remontu, ruszyłem w dalszą drogę. W Bangui, gdzie zaopatrzyć się miałem w benzynę i oliwę, dowiedziałem się, że w całej Nigerji wybuchło powstanie szczególnie niebezpiecznego plemienia Saari, które pali osiedla bardzo nielicznych białych kolonistów i handlarzy, niszczy mosty i promy, słowem, staje się niebezpiecznym żywiołem dla przejeżdżających karawan. Administrator radził mi przeczekać tę nawałnicę szalejących czarnych, lecz nie mając co robić, postanowiłem niezwłocznie ruszyć w dalszą drogę. Na rynku otrzymałem dobrą cenę za kły, a handlarz słoniowy, stary Hindus, powiedział mi, że gatunek ten jest wyjątkowo piękny, tak zw. „ivoire rose", najwyżej notowany na rynku. Zabrawszy czek na „Banque de l'afrique Equatoriale", pożegnałem stolicę Oubangui Chari i wziąwszy kierunek na północny-zachód z dwoma boy'ami, których zaangażowałem na całą podróż z zobowiązaniem odesłania ich do Bangui przez powracające czasami karawany, ruszyłem w tę daleką drogę, nie bardzo wiedząc, dokąd mnie ona doprowadzi. Zamierzałem dostać się do jeziora Tchad.

(Na tem kończy się część pierwsza opisu przygód myśliwskich w Środkowej Afryce. Druk części drugiej rozpoczniemy po otrzymaniu dalszego rękopisu, prawdopodobnie w połowie lata).



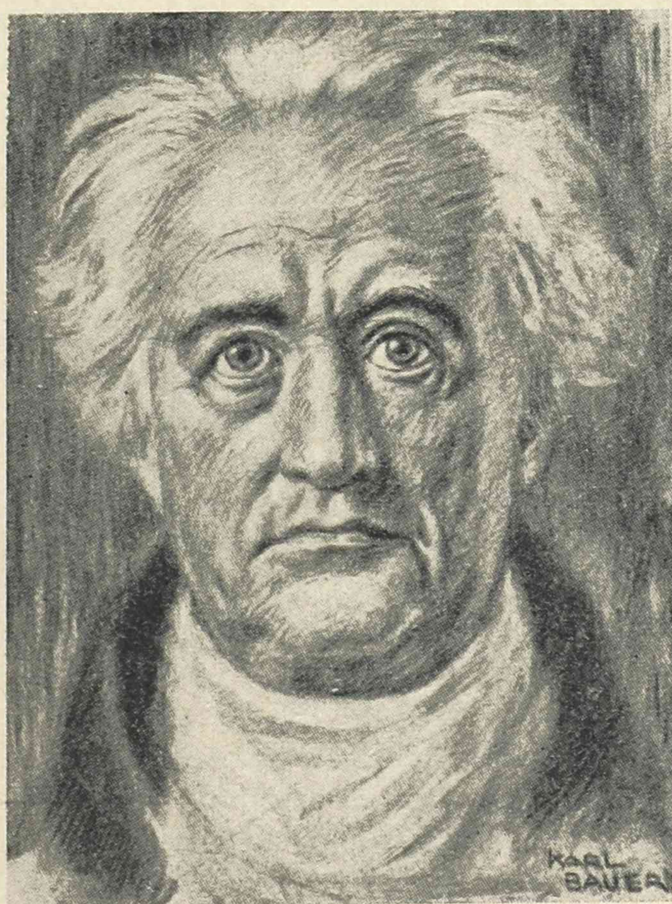


JAK J. W. GOETHE WYJEŻDŻAŁ NA SPACER

GOETHE CZYLI O KSZTAŁCIE

Setna rocznica śmierci Goethego wypadła na czas dość poważnych powikłań politycznych a przedewszystkiem gospodarczych, na czas bardzo silnej depresji, związanej z przeżywanym kryzysem, co wszystko nie sprzyja wytworzeniu tego nastroju powagi i skupienia, jaki potrzebny jest a nawet konieczny dla oddania w godny sposób hołdu wielkiemu genjuszowi poety. Niemcy dzisiejsze rozdarte są wewnętrznie bardziej niż kiedykolwiek, a przedstawiciele tego obozu, który najgłośniej daje o sobie słyszeć, t. j. hitlerowców, odnoszą się obojętnie a nawet wrogo do pamięci Goethego. Powtarza się historja mniej więcej z przed lat 100, kiedy istniał w Niemczech obóz zdecydowanych przeciwników Goethego, zarzucających mu bądź to obojętność wobec wielkich i doniosłych zagadnień chwili, bądź też brak wyczucia i zrozumienia najwyższych ideałów chrześcijaństwa, wysuwanych wówczas raczej jako platforma akcji o charakterze politycznym. Jest rzeczą zrozumiałą, że Goethe nie może znaleźć łaski w oczach skrajnych nacjonalistów, nie zdziwi też nikogo, że w roku jubileuszowym występują oni przeciw oddawaniu czci jego pamięci.

Jeżeli oddźwięk, z jakim spotyka się w tym roku jubileuszowym pamięć Goethego, nie jest w Niemczech harmonijny, to poza granicami Niemiec naogół postać największego poety niemieckiego występuje w oświetleniu bardzo przychylnem a nieraz nawet entuzjastycznem. Bo istotnie błędem byłoby ujmować twórczość Goethego jedynie tylko na tle rzeczywistości niemieckiej. Goethe z niej wyrósł, ale ją przerósł, wyszedł ponad nią w wielu kierunkach zarówno śmiałością swej twórczej fantazji, jak i głębią swej myśli. Goethe stał się rychło poetą naprawdę światowym a dzieła jego dobytkiem całego świata kulturalnego.



J. WOLFGANG GOETHE

* * *

W wielkiem dziedzictwie artystycznem i duchowem, pozostawionem przez Goethego, zawsze jednemu to bardziej, innemu tamto będzie odpowiadać, tak jak różne pierwiastki jego twórczości w różnych czasach rozmaicie bywały odczuwane. Ale są w wielkiem jego dziele pewne wartości wieczne, których urokowi nie zdoła się chyba oprzeć nikt, kto czuje wielką i prawdziwą sztukę i nie zaprzeczy nikt, kto świadomie zmierza do zgłębienia prawdy.

Na czoło wszystkich wysiłków twórczej i myślowej energji Goethego wysuwa się zagadnienie kształtu.

Jeśli przyglądać się będziemy poszczególnym fazom twórczości Goethego, to w każdej z nich odnajdziemy to świadome i celowe dążenie do opanowania kształtu i do zgłębienia jego tajemnicy, jako

zasadniczy motyw jego twórczej potęgi. Kiedy, wyzwoliwszy się z nalotu powierzchownej lecz zgrabnej i miłej kultury rococo, zaczął Goethe coraz silniej ulegać naporowi wewnętrznych doznań i szukać dla nich z jakąś gorączkową namiętnością odpowiedniej formy wyrazu, poraz pierwszy zetknął się z tem zagadnieniem i szukał w wielkich wzorach, w Szekspirze i w Pindarze mocy zdolnych ujarzmić gwałtowny wybuch jego sił duchowych. Wtedy też poraz pierwszy uświadomił sobie Goethe i powiedzieć można przeżył ten wielki i zasadniczy problem, który, dotknięty zaledwie przez estetykę angielską, stał się jedną z zasadniczych podstaw niemieckiego klasycyzmu, to zagadnienie t. zw. formy wewnętrznej. Goethe rychło bardzo sobie je uświadomił, dając wyraz przekonaniu, że nie każda treść może być traktowana w każdej formie, że raczej każda treść ma w sobie już jakgdyby pewien zarodek przyszłego kształtowania i jest rzeczą instynktu poetyckiego wyczuć tę predysponowaną jakgdyby formę i treść z nią odpowiednio sharmonizować.

Z całego szeregu listów Goethego i jego teoretycznych rozważań widać, jak głęboko ujmował on zagadnienie formy, jak zdawał sobie sprawę z powagi zadania poetyckiego. Szkice i przeróbki jego dzieł są dostatecznym i bardzo pouczającym przykładem tego przemyślnego i bardzo subtelnego poszukiwania formy i dopasowywania jej do każdorazowego kształtu. Goethe mógł sobie na to pozwolić, albowiem pełnia jego przeżyć i siła jego twórczej energji była tak wielką, iż nie mógł popaść nigdy w jakieś chłodne wirtuozostwo i czczą grę efektów. Właśnie ta potęga jego przeżyć pozwalała mu tak bardzo szukać władzy formy bez narażenia się poddania się jej tyranji. Goethego twórczość jest jedną wielką świadomą drogą ku opanowaniu formy i zgłębieniu jej tajemnicy. I w tem jest wielkie jego znaczenie artystyczne, jako wzoru i prawzoru — nie tej lub innej formy — ale jej poszukiwania jako najwyższego przykazania wielkiej i prawdziwej sztuki.

Stanowi o wielkości Goethego, że to poszukiwanie formy cechuje go nietylko jako artystę, ale także jako człowieka i jako myśliciela.

Mądrze napisana biografja Goethego mogłaby służyć jako podręcznik wychowania człowieka w tem wyższem i najwyższem tego słowa znaczeniu. Życie Goethego to szukanie formy i stylu, nie w jakiemś znaczeniu romantycznem czy też kabotyńskiem — tego elementu Goethe w sobie nie miał — ale zmaganie się z różnemi wewnętrznemi siłami celem skupienia się i osiągnięcia pewnego jednolitego stylu, opartego na równowadze pomiędzy chęcią życia i ubóstwianiem życia a ograniczeniem tej chęci i ujęciem jej w pewne zasady ładu, harmonji i nadanie mu wdzięku. Pisma Goethego, jego pamiętniki i listy są świetnym dowodem i przykładem tej żmudnej pracy wielkiego człowieka nad kształtowaniem własnego ja, pracy, w której nie ustał niemal do ostatnich godzin życia, krocząc świadomie drogą ku formie, pomiędzy pędem życia a rezygnacją.

Goethego spojrzenie na rzeczywistość, na sztukę i naturę było nawskroś morfologiczne, znaczy to, że dążenie do ujęcia kształtu i zgłębienie tajemnicy formy było zasadniczym motywem tego spojrzenia. Wielkie odkrycia Goethego w dziedzinie przyrodoznawstwa miały charakter wybitnie morfologiczny, to znaczy, że Goethe dążył do ujęcia zagadnienia kształtu zwierząt, roślin i zjawisk fizycznych (światła) i udało mu się w tej dziedzinie dokonać niektórych ważnych odkryć, które po dziś dzień mają swoje znaczenie w nauce. Nie inaczej miała się sprawa w odniesieniu do sztuki, kiedy bawiąc we Włoszech, zgłębiał istotę zarówno wielkich dzieł starożytności, jak i włoskiego renesansu. Podobnie ujęcie dzieł poezji starożytnej i nowożytnej a nawet współczesnej cechuje to dążenie do uchwycenia istoty i tajemnicy kształtu, którą odkrywa już w młodym wieku u Szekspira i którą wyczuwa później u Byrona.

* * *

W okresie pewnego celowego czy tendencyjnego niemal amorfizmu a więc bezładu i bezkształtności zarówno w formach myślenia, jak i w sposobach tworzenia jest Goethe tym wielkim wzorem kultury prawdziwego kształtu a więc kształtu przepojonego duchem i będącego jego pełnym i jasnym wyrazem. I tem się tłomaczy, że narody romańskie a przedewszystkiem Francuzi, u których ten kult tkwi najgłębiej w naturze, mają zawsze wielkie uznanie dla sztuki Goethego i dziś oddają mu hołd w roku setnej rocznicy jego śmierci. I wszędzie tam, gdzie dążą ludzie świadomie do wytworzenia wielkiej i prawdziwej kultury, hołd ten musi i winien przypaść Goethemu w udziale — a więc i w Polsce.

Zygmunt Łempicki

CO CZYTAĆ?

„ZYGZAKI", „CIENIE ORŁÓW".

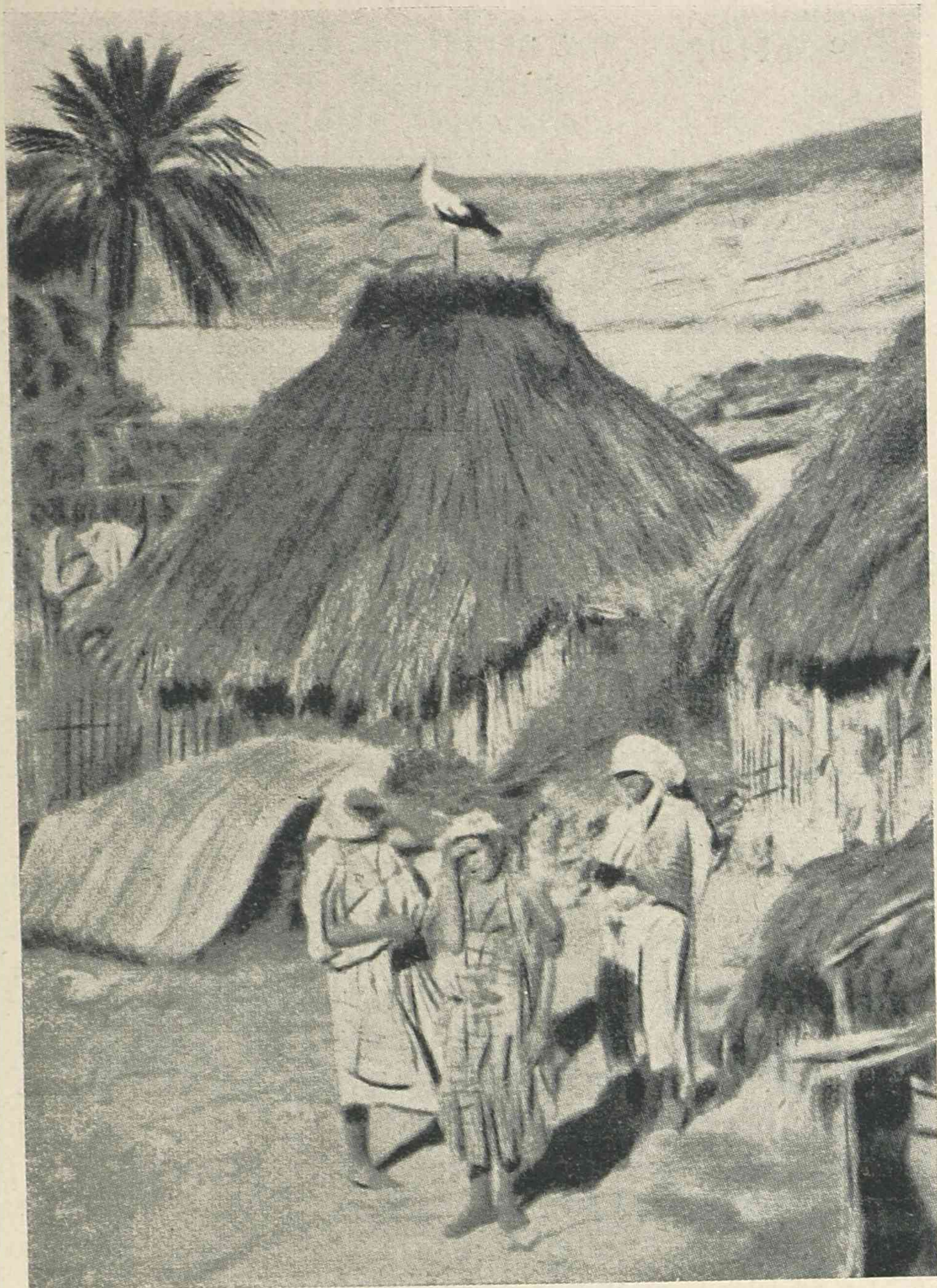
Karol Hubert Rostworowski, laureat nagrody państwowej, twórca „Judasza", zebrał w tom liryki swoje i wydał p. t. „Zygzaki". Poezje te muszą zaciekawić już chociażby z tego względu, że pochodzą z pod pióra jedynego dziś prawie w Polsce autora o tragicznem na świat spojrzeniu. W „Kaliguli" czy „Niespodziance" odzywa się zawsze echo zmagań wewnętrznych o prawdę istnienia. W liryce natomiast silniej dają znać o sobie dwa tony: ekstazy i sarkazmu. Poeta umie nawet być bezlitosny w ironji swojej, chłoszczącej małość ludzką. Jakże drwi z nieboraka Kuby, co to „oporządzał krowę" i za swoje znoje doił ją i doił. „Nagle jednak z miasta przyjechała do Kuby niewiasta" i to postępowa. Ta mu przewróciła w głowie! Skończyło się fatalnie, rozumie się, dla niego i dla krowy. Poeta bajkę tę zaopatrzył w znamienny morał, nie pozbawiony życiowej praktyczności, co znów, jak na tragika, jest bardzo charakterystyczne. Gadka o „krowie i Kubie" kończy się słowami:

„bo na tym świecie, aby wyjść na swojem,
trzeba pogodzić się nawet z gnojem,
i trzeba z krową, która nawet bodzie,
żyć w znojnej, gnojnej, ale dojnej zgodzie".

Czyżby to była kapitulacja? Nie, to szyderstwo, ale jakże niebezpieczne, bo podyktowane zdrowym rozsądkiem. Karol Hubert Rostworowski, jako ekstatyk, nasila równie jasno i wyraźnie swoje zachwyty. W wierszu pt. „Lipiec" znajdujemy taki zachwycony stan duszy przy zachowaniu pewnego krytycyzmu, męskiej przekory. „Zygzaki" skomponował poeta z cykli wierszy, jak „O świecie", „O sobie", „Szczęście moje" oraz „o Bogu".

Krakowski poeta Józef Aleksander Gałuszka, autor siedmiu zbiorów wierszy, z których dwa zostały wyróżnione nagrodą Ministerstwa Sztuki i Kultury, wydał tom ósmy swoich poezji p. t. „Cienie orłów". Poeta ten zaskarbił sobie dobre uczucia i tem jeszcze, iż potrafił oprzeć się zorganizowanej mafji warszawskich piosenkarzy. Podjął on walkę i wygrał. Chcieli go wyszydzić, sprowadzić do poziomu ich kupletów. Nie udała się naganka. „Cienie orłów" stoją przed nami w przedniej poetyckiej krasie. Na tom ten złożyły się czterdzieści cztery wiersze Józefa Aleksandra Gałuszki o dużej różnorodności nastroju, rytmu i rymu. Poeta jest wybitnym malarzem krajobrazu. Umie w nielicznych a plastycznych i barwnych słowach ukazać pejzaż. Odczuwa z dużą wrażliwością nastroje muzyczne i wiejskie. Wzrusza nas, gdy w słowach prostych a nabrzmiałych uczuciem opowiada o nieszporach, o zachodzie słońca, o krasnobrodzkich stawach. W zbiorze tym znajdujemy również kilka udatnych wierszy okolicznościowych, jak „na śmierć Jacka Malczewskiego", „na śmierć Juljana Ejsmonda".

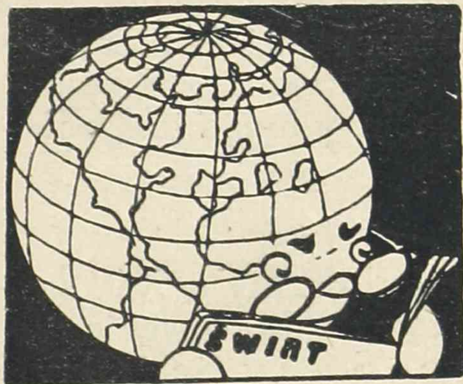
E. C.



NASZE POCZCIWE BOCIANY ZIMĄ: GNIAZDO NA CHACIE FELLAHA W EGIPCIE



PO WIOSENNYM PRZYLOCIE DO POLSKI: GNIAZDO NA NASZEJ CHACIE WIEJSKIEJ



TYDZIEŃ ŚWIATA

(V.) Pierwsze głosowanie powszechne na prezydenta Rzeszy Niemieckiej nie dało decydujących wyników. Hindenburgowi zabrakło około dwustu tysięcy głosów do wymaganej absolutnej większości; na 37 miljonów głosujących jest to odsetek minimalny. Świadczy jednak, że społeczeństwo niemieckie podzielone jest akurat przez pół: tyluż liczy obywateli spokojnych, trzeźwych i zdrowo myślących, co duchów niesfornych, rozegzaltowanych, łaknących przewrotu na — prawo czy na — lewo. Hitler uzyskał ponad 11 miljonów głosów, nacjonalista Düsterberg 2½ miljona, komunista Thälmann prawie 5 miljonów. Te olbrzymie cyfry niedobrze mówią o współczesnych Niemcach. Przy tak potężnej nieobliczalnej opozycji państwo rozwijać się nie może.

Najjaskrawsze jednak światło na nastroje w Rzeszy rzuca fakt postawienia w drugiem głosowaniu Hindenburga oko w oko z Hitlerem. Właśnie cesarskiego feldmarszałka, zwycięzcę z pod Tannenberga, bożyszcze tłumów nacjonalistycznych i reakcyjnych przed kilkoma laty — nie żadnego socjaldemokratę, nie katolickiego centrowca, nie umiarkowanego republikanina, lecz wiernego żołnierza Wilhelma, bohaterskiego wodza w wojnie, najczcigodniejszego dla Niemców starca zwalcza czterdziestoletni zaledwie jegomość, obcokrajowiec, przybłęda, demagog bez wykształcenia, bez zasług, bez żadnej przeszłości, a właściwie z przeszłością mętną i podejrzaną. Sięga po najwyższe dostojeństwo w państwie i zyskuje poparcie trzeciej części wielkiego narodu, a przy powtórnem głosowaniu może i więcej.

Bez względu na to, kto w dniu 10 kwietnia będzie wybrany na prezydenta Rzeszy, już samo ubieganie się o ten tytuł Hitlera obniża powagę Niemiec i ubliża Hindenburgowi. Przeciwnik nie przynosi mu zaszczytu. Nie jest też wykluczone, że stary wojak nie zechce zmierzyć się w pojedynku finalnym z parwenjuszem politycznym najniższego gatunku i cofnie swą kandydaturę.

Może też zdarzyć się, że Hitler, zaspokojony w ambicji zebraniem 11 miljonów głosów, odstąpi miejsca w rozgrywce komuś ze swoich popleczników, chociażby jednemu z Hohenzollernów. Byłoby to złośliwe zaszachowanie feldmarszałka.

Konstytucja niemiecka pozwala

na wysuwanie w drugim turze osób nie kandydujących uprzednio. Sam Hindenburg w 1925 roku wystąpił dopiero przy głosowaniu powtórnem i pobił 14,629,000 głosów kompromisowego kandydata centro-lewicowego, dr. Marxa, który zebrał 13,740,000 głosów. Może się więc zdarzyć, że i teraz wypłynie nagle nowa osobistość i zupełnie zmieni ustosunkowanie się stronnictw.

. . . .

(V.) Pod auspicjami Francji projektuje się blok gospodarczy państw naddunajskich: Czechosłowacji, Austrji, Węgier, Rumunji i Jugosławji. Mówi się też o blizkiem porozumieniu regjonalnem państw bałtyckich: Finlandji, Estonji, Łotwy i Litwy. Dla Polski niema miejsca ani w jednym zespole, ani w drugim. Ponieważ pozatem graniczymy z komunistyczną Rosją i wrogiemi nam Niemcami — grozi Polsce całkowita izolacja, wprost okrążenie i odcięcie od świata.

Nasza polityka oficjalna tem się jakoś nie przejmuje. Zadowolona jest z siebie i z innych. Może ją pociesza, że w tych dniach właśnie Bedirondo Zelleke Ahuedeou, poseł nadzwyczajny cesarza Etjopji Heile Sellasie I-go, na audjencji u p. Prezydenta Rzeczypospolitej zapewnił, że najgorętszem pragnieniem jego rządu jest, aby stosunki między Polską a Etjopją rozwinęły się korzystnie i stały się bardziej bezpośredniemi i trwałemi.

. . . .

(V.) Japonja, wielokrotnie zapewniająca, że nie dąży do podbojów terytorjalnych na kontynencie azjatyckim, ani do uzyskania dla siebie wyjątkowego stanowiska, sprecyzowała obecnie swój program: w Mandżurji domaga się ułatwień kolonizacyjnych dla Japończyków i uprzywilejowania kapitału japońskiego, w Szanghaju chce stworzyć stałą bazę dla swej floty w ilości 14 okrętów wojennych i awjomatki.

Tylko tyle!

. . . .

(L.) Bolszewicy, gnębiąc u siebie kler katolicki, nie omieszkali z okazji dziesięciolecia pontyfikatu Piusa XI dać w prasie swojej wyraz dyplomatycznej kurtuazji. Jest to bardzo znamienne. Kreml w walce w Watykanem nie przebiera w środkach. Politycy bolszewiccy wiedzieli jednak, że opinje ich przedostaną się zagranicę. Nie mogli sfałszować, ani skoszlawić prawdy. Przyniosłoby to szkodę ich propagandzie. Więc w pismach swoich oddają cześć zasługom papieża. Najciekawszy głos w tej sprawie zamieścił komunistyczny „Bezbożnik". W № 12 tego pisma czytamy:

„Przedewszystkiem trzeba podkreślić nadzwyczajną aktywność kierownika kościoła. W ciągu dwóch ostatnich lat ogłosił on cały szereg encyklik, traktujących o wszystkich najważniejszych sprawach życia bieżącego. Papież mówi w nich o wychowaniu młodzieży, o małżeństwie, o kwestji robotniczej oraz o bezrobociu. Nie wyczerpuje to działalności Piusa XI. Wystarczy spojrzeć na dziennik watykański, by przekonać się o niezwykłej ruchliwości tego papieża, osoby w dodatku wiekowej, jego pracowitości nadzwyczajnej i energji. Pius XI posługuje się ponadto stacją radjową, aby przemawiać do całego świata katolickiego; rzadko mija dzień, by nie przyjął delegacji, przybywających z całego świata".

Opinja ta mogłaby zdziwić, gdyby nie fakt, iż nawet Kreml musi się liczyć z dostojeństwem Głowy Kościoła katolickiego! Jest to tylko zręczność p. Litwinowa, komisarza spraw zagranicznych republiki Sowietów.

. . . .

(O.) Wymowa cyfr bywa zawsze pouczająca. Warto tedy pomyśleć nad kilkoma liczbami, ujmującemi deficyt budżetowy różnych państw. Nasz deficyt za 10 miesięcy roku budżetowego 1931/32 wyniósł 6% strony rozchodowej. Deficyt Austrji za r. 1931 zamyka się w 10% strony rozchodowej. W Czechosłowacji— 9,5. W Niemczech — 17% rozchodów (1.187 mil. marek). Deficyt Węgier za czas od lipca do grudnia ub. r. sięga 18%. Stany Zjednoczone przewidują deficyt na sumę przeszło 2 miljardów dolarów, co stanowiłoby 54% strony rozchodowej.

Cyfry te są bardzo efektowne; wzbudzą one jednak pewne zastrzeżenia. Niema w nich budżetu Francji, Holandji, Belgji, Państw Skandynawskich. Podał je w sejmie p. premjer Prystor w celu lepszego zilustrowania stanu naszej gospodarki państwowej. Byłoby interesujące zestawienie cyfr nowych obciążeń podatkowych w każdem ze wspomnianych państw oraz tabel redukcji świadczeń ze strony rządu.

. . . .

(R.) Niepostrzeżenie przechodzą nieraz w życiu wybitne zasługi. Któż z szerszych kół naszego społeczeństwa wiedział o działalności Stanisława Bełzeckiego? Pracował bez rozgłosu i zmarł cicho. Profesor wyższych nauk inżynierskich w politechnice warszawskiej, autor licznych dzieł matematycznych, honorowy członek międzynarodowego stowarzyszenia inżynierów w Paryżu, ekspert w zawiłych kwestjach rachunków technicznych, wśród specjalistów cieszył się wielką powagą i uznaniem. Politechnika lwowska w uznaniu jego zasług nadała mu honorowy doktorat za prace z wyższej matematyki. Jako pedagog wychował zastęp znakomitych inżynierów polskich i rosyjskich. Od r. 1907 był przecież profesorem politechniki petersburskiej i stanowił atrakcyjną siłę naukową tej renomowanej uczelni. Bolszewicy zrujnowali go doszczętnie. Do Warszawy przedostał się ledwie uchodząc z życiem. Rozwinął na rodzinnym gruncie płodną i fundamentalną działalność, jednając zagranicą autorytet dla warszawskiej politechniki i polskiej nauki inżynierskiej. Paryż wielokrotnie korzystał z jego fachowych rad i wskazówek, darząc go uznaniem i podziwem. Zwracały się do ś. p. prof. Bełzeckiego i stowarzyszenia amerykańskie po arbitraż w sprawach zawodowych.

Gdy umarł przed kilkoma dniami, nie zauważyło tej straty nasze społeczeństwo. Przysporzył jednak ś. p. prof. Stanisław Bełzecki sławy i zasług naszemu narodowi, pozostawił w dziedzinie swojej specjalności dorobek dużej miary inżyniera i matematyka. Szersze koła społeczne winny być o tem poinformowane.

. . . .

(P.) Ruch kulturalny w Warszawie mimo kryzysu bije wcale żywem tętnem. Sezony teatralny i koncertowy mamy w pełni. Konkursy szopenowskie zainteresowały dosyć szerokie koła publiczności. Niema dnia bez odczytu, zebrania, pokazu. Porusza się tematy o szerokiej skali umysłowych potrzeb. Mamy prelegentów mówiących o miłości przez duże M, równocześnie w uniwersytecie na wykładach publicznych dowiedzieć się może ciekawy słuchacz „o kaktusie czczonym, jako bóstwo". Prof. Cesare Valaberga w „Towarzystwie Dante Alighieri" zaznajamia z literaturą klawicymbałową, a dyr. A. Rose wyjaśnia istotę „sztywnych cen kartelowych". Prof. Edward Loth w kole medyków daje naukową analizę „najdonioślejszego odkrycia ostatniej doby"—„Nosoroż-

Z wystaw orjentalnych A. Laszenki



„Rue de la Mer Rouge" w Algierze



Targ w Sidi Okba

Żywiołem znanego artysty - malarza, p. Aleksandra Laszenki, jest słoneczny, pustynny, arabski Wschód. Zna on doskonale jego tajemnice i obyczaje, które barwnie obrazuje na swoich cennych płótnach. Obrazy i szkice tego orjentalisty ogląda się co roku na wystawach Zachęty w Warszawie. Obecnie podróżują one po naszej prowincji. Niedawno widziały je: Włocławek, gdzie mieszka stale p. Laszenko, Toruń, Inowrocław, wkrótce taka wystawa odbędzie się w Gdyni.

Z pośród kilkudziesięciu obrazów wyróżniają się ekspresją i kolorytem sceny z życia Algieru, Tunisu i Marokka, a między niemi większe płótna: „Taniec Łasicy", „Wodopój", którym ilustrowaliśmy w № 9 „Świata" artykuł X. W. Kneblewskiego: „Z wędrówek po Saharze", i „Targ w Bou Saada". Frekwencja na wystawach bardzo znaczna.

Dodać należy, że część tych obrazów — wystawiano zagranicą: na Wystawie Kolonjalnej w Paryżu, w Brukseli, wreszcie w Berlinie.

Okładkę niniejszego zeszytu „Świata" zdobi reprodukcja obrazu Laszenki: „Meczet Sidi Abd el Rachmane w Algierze", powyżej dajemy dwie inne reprodukcje z tejże ciekawej serji.

---

ca ze Staruni". Warto też wspomnieć o cyklach odczytowo-wykładowych, dotyczących znajomości ziem słowiańskich, literatur romańskich, skandynawskich. Dużą aktywność wykazują stowarzyszenia młodzieży akademickiej. Staraniem studentów Uniwersytetu Warszawskiego odbył się odczyt prof. dr. Adrjana Diveky pt. „Węgry przedwojenne i współczesne". Odczyt ten był ilustrowany pięknemi przezroczami. Słuchacz miał możność zapoznać się z istotą zagadnienia węgierskiego ze źródła fachowego, w interpretacji miarodajnej dla pragnień dzielnych i bitnych synów bohaterskiego narodu. Sala była przepełniona. Rzęsiste oklaski dziękowały prelegentowi za piękny, wyczerpujący odczyt.

. . . .

(M.) Studenci żydowscy uniwersytetu wileńskiego na zebraniu swego stowarzyszenia obrazili prof. Wróblewskiego. Był on wyznaczony przez senat na kuratora tego zebrania i prosił, by studenci przemawiali po - polsku, gdyż nie rozumie żargonu. Studenci żydzi postanowili demonstracyjnie nie czynić zadość temu słusznemu żądaniu. Gdy przewodniczący rozpoczął przemawiać po - polsku, podnieśli nieopisany rwetes i wołali „precz". Prof. Wróblewski zmuszony był rozwiązać zebranie.

Nikt nie przynagla przecież młodzieży żydowskiej, by studjowała na wszechnicach polskich. Skoro jednak wchodzi w progi naszych wyższych uczelni, musi podporządkować się prawom i obyczajom uniwersyteckim. Na żadnym uniwersytecie niemieckim, francuskim, czy angielskim nie tolerowanoby tego rodzaju wybryków, a wszelkie zakusy agresji w stosunku do profesora - kuratora zebrania karane bywają bardzo srogo i bezwzględnie. Ekscesy takie nie ułatwiają przecież współżycia i współpracy uniwersyteckiej.

Od czwartku do czwartku

Najważniejsze wydarzenia tygodnia

Nadzwyczajna sesja Rady Ligi została zamknięta uchwaleniem rezolucji i wyborem komisji specjalnej dla spraw konfliktu chińsko-japońskiego.

Utworzono rząd mandżurski z samych generałów. Premjerem i ministrem spraw zagranicznych został gen. Czang-Czin-Kuj, ministrem wojny — gen. Ma, min. spraw wewnętrznych gen. Wanhus, min. handlu — gen. Lia-Osin i t. d. Wojska tych generałów nie uznały jednak rządu mandżurskiego i podniosły bunt na rzecz Chin.

Czang-Kaj-Szek został ponownie naczelnym wodzem wojsk chińskich i prezesem rady obrony państwa z pełnomocnictwami dyktatorskiemi.

W Japonji wynikł run na banki; musiały one zamknąć kasy, kilka zbankrutowało. Narada bankierów wypowiedziała się przeciwko pożyczce wewnętrznej, za inflacją.

Przebywającego w Kownie Waldemarasa aresztowano pod zarzutem przygotowywania zamachu stanu i osadzono w Eszerenie pod nadzorem policji.

MYRTHA NOEL

PANICHIDA

Olga po długich staraniach dostała pozwolenie zobaczenia się z mężem, porucznikiem artylerji, na linji pogranicznej między dwoma frontami. Była to mała poleska wioszczyna, zapomniana przez Boga i ludzi, gdzie życie tłukło się powoli, jak gęste, szare dymy pełzające nisko nad chatami. Otaczające zewsząd bagna nadawały i bez tego groźnej w swym bezwładzie miejscowości cechę tajemniczej głuszy, w której nic nigdy dziać się nie może. Na suchym cyplu wioski, wrzynającym się ostro między zieloną pleśnią porosłe bagniska, stała wpół rozwalona cerkiewka z krzywo osadzonym krzyżem na kopulastej bani, ze ścianami, po których zawsze ściekała woda i z drzwiami, których oddawna nikt nie otwierał. Każdy pop, przysłany tutaj, aby rusyfikować dziką, ledwo umiejącą mówić ludność, umierał zarażony wyziewami bagna, lub nie czekając pozwolenia zwierzchności, uciekał spiesznie sam, lub z rodziną, o ile nieostrożnie sprowadził ją odrazu do „Przeklętego miejsca".

Olgę przywiózł z małej stacji chłop kudłaty i ponury. Zamruczał coś, stanąwszy przed chatą, która, jedyna w całej wsi, miała szyby w okienkach i otrzymawszy zapłatę, ruszył powoli dalej, nie oglądając się na Olgę, która stała bezradnie, przerażona ciszą i pustką.

Był to rok 1916, rok zmagań się tytanicznych w poplątanym labiryncie odnóg Stochodu i Styru, gdzie dużo kipiących życiem i młodością istnień ludzkich śmierć w zielonych bagniskach i lasach, pełnych gadów, znalazło.

Tu miała czekać Olga na męża. Nie wolno było jechać na linję frontu, chociaż jako sanitarjuszce, mającej silną protekcję, zdawało się jej, że cudu tego dokaże. Nie wolno było jej mężowi oddalić się dłużej, niż na 24 godziny z zajmowanego stanowiska, przeto o spotkaniu się w mieście, czy na dużej stacji węzłowej również mowy nie było. Według obliczeń oficera, który przepustkę jej wydał, mąż, zawiadomiony telefonicznie przez komendę w okopach, mógł przybyć na miejsce spotkania w godzinę po jej przyjeździe. „Naturalnie, o ile nie stałoby się coś ważnego — dodał oficer uprzejmie. — W takim razie radzę pani wracać natychmiast na stację"...

Olga nie pytała nawet, co mogło znaczyć owo „coś ważnego"... Mógł to być jedynie atak nieprzyjaciela, który na terenie w podobnych warunkach—równał się zawsze śmierci....

Była czwarta po południu. Przejrzysta, lekka mgła podnosiła się nad bagnem, wirowało w niej tysiące miljonów małych, jadowitych w ukąszeniu komarów, których monotonne brzęczenie złowrogo brzmiało w uszach Olgi. Czasem dochodził huk armat. Rzadko i nieregularnie. Po każdym oddalonym strzale bagno poruszało się niespokojnie. Tworzyły się bąble na powierzchni, gulgotała woda, lśniła zielono-czarna powłoka, marszcząc się, gnąc i falując, jak łuski olbrzymiego gada.

Ostrożnie weszła Olga do niskiej, ciemnej sieni. Niechcący nadeptała małe brudne prosię, które z kwikiem na drogę wybiegło. Uchyliły się drzwi. Wyjrzała baba stara, rozczochrana, okropna, ze złem spojrzeniem czarnych od dymu oczu.

-- Czoho nada, taj wernysia — niechętnie wymówiła.

— Mam czekać tutaj na męża, nieśmiało powiedziała Olga.

Stara ukazała dwa spróchniałe zęby w straszliwym uśmiechu.

— Muuża — powtórzyła przeciągle — taj hody! — Gestem zaprosiła do wnętrza.

Olgę owionął odór starego tłuszczu, potu, wilgotnych kożuchów i zgniłej kapusty. Na ognisku, gdzie tlił się leniwo kawał ciemnego torfu, stał duży sagan pełen gotujących się ziemniaków. Po przez kłęby dymu, wałęsające się po izbie, Olga zobaczyła duże łóżko, brudne, oblepione błotem nogi i łeb porosły kołtunem. Masa ta ciał, czy ciała, nie mogła bowiem Olga dostrzec, czy nogi były własnością głowy, czy niewidzialnego pod kożuchem i pierzynami innego korpusu, wydawała dźwięki chrapliwe, groźne i poszczekujące. Trudno było zrozumieć, o co głowie z kołtunem chodziło. Stara odpowiadała monosylabami, nie patrząc wcale na Olgę, która ściskając nerwowo swój mały, wykwintny neseser, nie wiedziała zupełnie, co ma począć ze sobą. Ławy, ani krzeseł nie było. W głębi pod okienkiem stół czarny od brudu i starości, kilka pniaków,służących za siedzenie. Olga po chwili wahania siadła na jednym, blisko drzwi i beczki z wodą, z której z głośnym chlupotem wyskoczyła szaro - zielona żaba. Olga przymknęła oczy z obrzydzenia i wstrętu. Stara zarehotała głośno.

— A szczo? liaguszki, boitieś?— zapytała Olgę [1]).

Skinęła w odpowiedzi głową. Spazm nagłego płaczu ścisnął jej gardło. Zmęczenie podróżą, stała głucha trwoga, znana od wielu miesięcy, paląca, nieustępliwa tęsknota, głód pieszczot i pocałunków, bezsensowny żal do Nieznanej Mocy, która każe setkom, tysiącom żołnierzy ginąć w bagnach, gdzie żyją również setki tysięcy żab wstrętnych, zielonych, cuchnących.

— Przecież to tak łatwo — myślała Olga — zatonąć... Wlewa się do uszu, gardła, nosa, oczu czarna lepka masa. Ręce w obłąkanym chwycie czują kształt miękki, wijący się chłodnym, rozdziawionym pyszczkiem w dłoni. Wokół szyi wąż błotny koronę swoją zaciska... A potem już nic... Bagno ofiarę pożarło...

Olga przerażonemi oczyma wpatruje się w ognisko. Huk armat staje się coraz bardziej donośny. Spojrzała Olga na zegarek. Dopiero pół godziny — myślała, że wiek cały. Czy Mika zdąży przyjechać? — Musi... Tak radośnie to słowo wpadło do jej duszy. Naturalnie, że musi... Dosięgnie słowo okopów, smagnie biczem rozkazu jasną głowę ukochanego. Musi.. Przecież to proste i logiczne. Olga nie czuje trwogi... Niema żab, ani błota, ani chaty ponurej, ani baby, która naradza się szeptem z głową owiniętą kołtunem... Oboje patrzą pożądliwie na błyszczący jasno okuciami elegancki neseser. Olga nie widzi spojrzeń okrutnych, złych, zdziczałych... Wie tylko, że wyjść z tej izby powinna, że wkrótce z ciemnego lasu wychyli się postać najmilsza, że padną sobie w ramiona, że spojrzą sobie w oczy, a potem już niech się dzieje, co chce... Zdaje się Oldze przez chwilę, że przez bagna przejdzie bezpiecznie, tylko nie wie biedna, z której strony lasu może wyjść ukochany. Droga do wsi jedyna, ale wiedzie od stacji. Front jest naznaczony linją krzywą, przeto Mika może łódką przypłynąć, lub wziąć przewodnika, który go po kę-

[1]) -- A co? żaby się boisz?

pach bagniska przeprowadzi. Wzrok Olgi na cerkiewkę pada. Tak, naturalnie, pomodli się przed ikoną. To będzie najlepiej. Idzie tam zaraz, bezzwłocznie, neseser zostawiając babie. Niedługo powróci tu z mężem... Uśmiech pogardy błyska na gębie staruchy...

Cóż to Olgę obchodzi?... Ona wie, że Mika przyjdzie...

Wsunąwszy ręce w kieszenie podróżnego płaszcza, śmiało idzie Olga do cerkwi. Zdawało się jej, do wioski wjeżdżając, że wrota jej były zamknięte, krzywo, niezdarnie gwoździami zabite, ale to zdawało się widocznie, bo przecież teraz są otwarte i wejść swobodnie można. Swobodnie... cóż za myśl, skąd powstała?... Olga stoi na progu, trąc czoło gorączkowo obiema rękami. Tak. W ciemnem wnętrzu niema nikogo, ani na progu nikt prócz Olgi nie stoi, przecież nogi jej sparaliżowane zupełnie i zimno przeraźliwe biegnie wzdłuż jej ciała. Widzi dokładnie, dzięki ukośnie padającym promieniom słońca już na zachodzie, święte drzwi ikonostasu, z za których pop wyjść powinien. Widzi kilka ciemnych obrazów i blado połyskującą lampę. W kącie na lewo dostrzega nareszcie Olga kształt ruszający się leniwo. Była to baba w namitce białej na głowie, z której pasmami ociekała woda, tworząc małe kałuże wokół klęczącej postaci. Później wysunęło się kilku brodatych chłopów w czapkach głęboko nasuniętych na czoło. Oni również ociekali wodą. Ale ich pojawienie się ciche i bezszelestne, jak to zauważyła — dodało Oldze odwagi, aby wejść do wnętrza cerkwi. Zaraz wyszedł pop, owiany chmurą kadzidła, że dostrzec jego twarzy nie mogła i nabożeństwo rozpoczęło się od modlitw szeptanych półgłosem, a później chór głosów chrapliwych i jęczących zaśpiewał „Hospody pamiłuj".

— Daremnie proszą — pomyślała Olga drgnąwszy nagle, bo oczy jej spotkały się z wejrzeniem jednego z ponurych śpiewaków. Miał gębę siną, spuchniętą, z rozdziawioną spazmatycznie, jak do wielkiego krzyku, paszczą, w której lśniły żółte, rzadkie pieńki zębów. Oczy jego wytrzeszczone, prawie z orbit wyszłe, patrzyły groźnie i nieruchomo na Olgę...

Spojrzenia tego znieść poprostu nie mogła. Było straszliwe. Czuło się groźbę i rozkaz. Szyderstwo i gniew. Rozpacz i przerażenie. Było piekielne, dojmujące i nieubłagane. Siłą woli przeniosła oczy swoje na ołtarz. Paliła się tam świeca, gruba woskowa, z masą nieregularnie zastygłych skrzepów, które, jak grzyby pień drzewa, obrastały jej boki. Pop ze spuszczoną głową w zielonej riasie chodził, kadząc bezustannie. Ostre kłęby palonego bursztynu, jałowcu i myrrhy zwijały się fantastycznie. Przez otwarte drzwi Olga dostrzegła pierwsze gwiazdy na bladym seledynie nieba.

Już późno — pomyślała — trzeba wracać. Mika nie przyjechał. Ta myśl ostatnia nie sprawiła bólu. Stępiała poprostu na wrażenia zewnętrzne w dziwnej atmosferze przeżyć podróży, brudnej chaty i cerkwi tajemniczej...

Spróbowała przejść bokiem koło otaczającego ją tłumu. Zakołysał się nagle, powstał z krzykiem ogromnym „Hospody pomiłuj" i Olgę ścisnął nieprzerwanem kołem. Skurcz trwogi straszliwej zwinął się, jak wąż, po ciele Olgi. Ręce bezradnie rozwiodła, patrząc oczyma obłąkanemi ze zgrozy na cisnące się zewsząd upiory.

Już wątpliwości nie było. Gromada zielonych, obrzydliwie spuchniętych topielców, domagała się od niej życia... Obłe, wilgotne, chwytliwe dłonie za kark ją ciągnęły, za włosy, szarpiąc w stronę drzwi, które pchane wiatrem skrzypiały bezustanie... Olga broniła się z rozpaczą. W pewnej chwili uczuła, ze malutki złoty zegarek, podarunek męża, i złoty łańcuszek z krzyżykiem na szyi, pękają pod naporem rąk napastliwych. Rozległ się słaby brzęk padających na ziemię przedmiotów, co gromada upiorów przyjęła wyciem dzikiej radości...

Zaciągnęli ją do progu, za którym czaiła się noc i bagno. Nad borem lśniły reflektory. Czasem przelatywała z sykiem rakieta.

Teraz gromadzie przodował pop z oczami wygniłemi, który krzyżem wskazywał drogę wprost do przepaści błotnej. Olga obu rękoma spróchniałe odrzwia chwyciła, tak mocno, aż krew z pod paznogci trysnęła. Nie pomogło... Topielcy za nogi jęli ciągnąć, szyję dławić, aż ustąpić musiała. Chłop o sinej twarzy pchnął ją na bagnisko brutalnie. Zakołysała się czarna powierzchnia, bulgnęła woda cuchnąca i Olga zapadła się po kolana...

Tam i owdzie rosły kępy sitowia. Chwytała je w nadziei szalonej, że cud wybawić ją może, że ujdzie gromadzie upiornej, która w miarę jak Olga zapadała się głębiej, jęła razem z nią znikać, aż wreszcie już tylko głowy ruszały się na powierzchni. Pop stał najdłużej. Tuż nad Olgą, zawodząc hymn pogrzebowy i stukając po głowie Olgi krzyżem, kiedy wysiłkiem ostatnim raz jeszcze na świat spojrzeć chciała.

Od lasu, ze strony zachodniej, gdzie jezioro półkole zataczało po przez gałęzie splątane, migotać pochodnie zaczynają. Błoto już sięga brody Olgi, ale oczy łez bolesnych pełne dostrzegły zdala łódkę, na której jest Mika i zbawienie. Raz jeszcze szarpnęła się z całej mocy. Łódka z lasu wypłynęła. Jakże wyraźnie widzi postać ukochanego. Próbuje krzyczeć... nie może. Błotem się zachłysnęła... Boże.... Modli się całą duszą... Boże... Ratuj, nie daj ginąć... tak strasznie... Boże! Niech Mika wie, że ja tutaj... Jeszcze ostatnim podrzutem głowę wtył odchyliła. Z warg jej białych zupełnie dobył się krzyk straszliwy, który echem rozgłośnem o ściany boru uderzył....

W owej chwili gwiazda o świetnym połysku spadła i pop o twarzy bez oczu, krzyżem raz ostani w męczeńską głowę uderzył...

Na kępie sztywnego sitowia chwiała się chustka Olgi, czerwieniąc się znakiem krzyża...

. . . .

Porucznik Mikołaj Obłomow spiesznie nad kępy jeziora wyskoczył. Nie wierzył w pierwszej chwili, kiedy mu powiedziano, że może udać się do R..., gdzie nań oczekuje Olga. Ale dowódca oddziału wiadomość telefoniczną potwierdził.

— Wasza żena mołodaja — powiedział ze śmiechem rubaszym. — Nu, wy chociaż dla niej innym być powinniście. Nie oszczędzać poliaków — padlecow i wieszać!...

Obłomow, słuchając tych słów, zarumienił się mocno. Prawdą było, że kiedyś patrol jego złapał pięciu smarkaczy, broniących się, jak młode lwiątka... Poranionych okrutnie do kwatery jego odstawiono. Rozkaz miał wyraźny wieszać bez pardonu... Nie mógł tego uczynić. Pod pozorem, że papiery znalezione przy chłopcach były wielkiej wagi, odesłał papiery z żołnierzami do rozporządzenia wyższej komendy. Straż im przydał słabą, rąk związywać nie kazał. Stało się, czego pragnął w duszy. Młode lwięta uciekły, on za karę od roku urlopu nie mógł otrzymać...

Ale miłość Olgi mocniejsza była, niż rozkazy sztabu i przeszkody jakiekolwiek. Za chwilę zobaczy się z nią, usłyszy głos, który sam stanowił pieszczotę nieopisaną.

Obłomow trzymał w ręku pęk

konwalji leśnych, ulubiony kwiat Olgi. Kazał je zerwać żołnierzom, którzy na rozkaz uwielbianego oficera pełzli ostrożnie na brzeg lasu pod gradem kul nieprzyjacielskich. Ani jeden nie był ranny. Wiadomo... Przecież kwiaty musiały być dla niej. Szedł tedy, oglądając się uważnie. Pewien był, że spotka ją na drodze między dwoma rzędami chat zapadłych i nędznych. Kiedy dochodził do jedynej, która miała szyby w oknach, krzyk przerażający, groźny obił się o ściany lasu, powracając echem wyolbrzymiałem stokrotnie. Krzyk był bez słów. Był przeraźliwą melodją rozpaczy. Krew ścinał w żyłach, paraliżował nogi. Psy zawyły głucho. Starucha na próg wychynęła.

— Gdzie pani? — zapytał oficer, ochłonąwszy z przerażenia.

— Ja ne znaju, taj poszła — stara odmruknęła...

— Gdzie tutaj pójść mogła? — groźnie nastawał porucznik.

— Musi na bagnie pohibła — drapiąc się w głowę powiedziała— Ta, że wy krzyku nie słyszeli, a?...

Obłomow nie pytał więcej. Oszalały z rozpaczy pędził. Za nim wierny ordynans Pietia. Dopadli drzwi cerkwi otwartej... Na progu lśnił zegarek złoty, trochę dalej krzyżyk z zerwanym łańcuszkiem. W blasku zimnym księżyca chustkę na kępie sitowia zobaczyli... Pietia, wyciągnąwszy się jak struna końcem szabli chustki dosięgnął i salutując w milczeniu panu swemu oddał...

Chwilę stali obaj bez ruchu. Nagle Obłomow rzucił się całem ciałem, sekunda jedna... podzieliłby los Olgi... Ale Pietia zaparł się mocno nogami w twardą ziemię i pana swego nie puszczał. Mocowali się strasznie nad samym krajem przepaści, gdzie głucho bulgotała woda. — Wreszcie Obłomow osłabł. Pietia niósł go raczej, niż prowadził do łodzi, aby rozpocząć drogę żałobną, w tępem osłupieniu rozpaczy....

Kiedy już byli w okopach, koledzy ze zdumieniem ujrzeli siwą głowę Obłomowa. Pietia opowiedział im wszystko. Nie próbowali pocieszać. Zresztą wkrótce rozpoczął się atak. Obłomow parł się naprzód, żgając żądłem bagnetu. W jakiejś chwili dostrzegł jasne, dziecinne oczy... Ogarnęło go pewne zdumienie. Aha, — to jeden z ocalonych przez niego.

— No, pomyślał, —ocalże mnie ty teraz i pierś pod uderzenie bagnetu nadstawił.

Jasne oczy chłopca zrozumiały prośbę... Gorące, pełne młodej krwi, kochania bezbrzeżnego, serce Obłomowa grot zimnej stali przeszył.

. . . .

Była północ. Koguty pianiem ochrypłem oznajmiały ją wiosce, ponurej i uśpionej. W jednej tylko chacie połyskiwało łuczywo. To starucha z mężem nacieszyć się skarbami zrabowanemi nie mogli...

Obłomow o nic więcej, prócz o żonę, nie pytał... Zginęła, on na front powrócił, przeto neseser stał się ich własnością. Czarnemi o zakrzywionych szponach palcami ostrożnie pod światło przeglądali mnóstwo zbytkownych przedmiotów, nie rozumiejąc ich znaczenia.

Stara, cmokając w podziwie sinemi wargami, po raz setny oglądała jedwabną koszulę Olgi, przepojoną subtelnym zapachem. Potem wyciągnęła fotografję Olgi.

— Jak żywa — pyśana — odezwała się stara — taj i hladit ne treba... W ogień broszu, taj zhynie, a to isz — dawit pryjdet...[1])

Karton rzucony na węgiel, skręcił się, zamigotał, buchnął jasnym płomieniem. Po chwili z fotografji Olgi została garstka popielatego popiołu...

Chłop z kołtunem powlókł się do łoża. Za nim podreptała stara. Nagle... rzuciwszy wzrokiem w okno, z jękiem przerażenia stanęła... Chłop, mrucząc, odwrócił głowę... I on zamarł w bezruchu. Z okna ich bagno widać było doskonale, a to, co działo się tam, mogło krew zmrozić w żyłach nawet najodważniejszych....

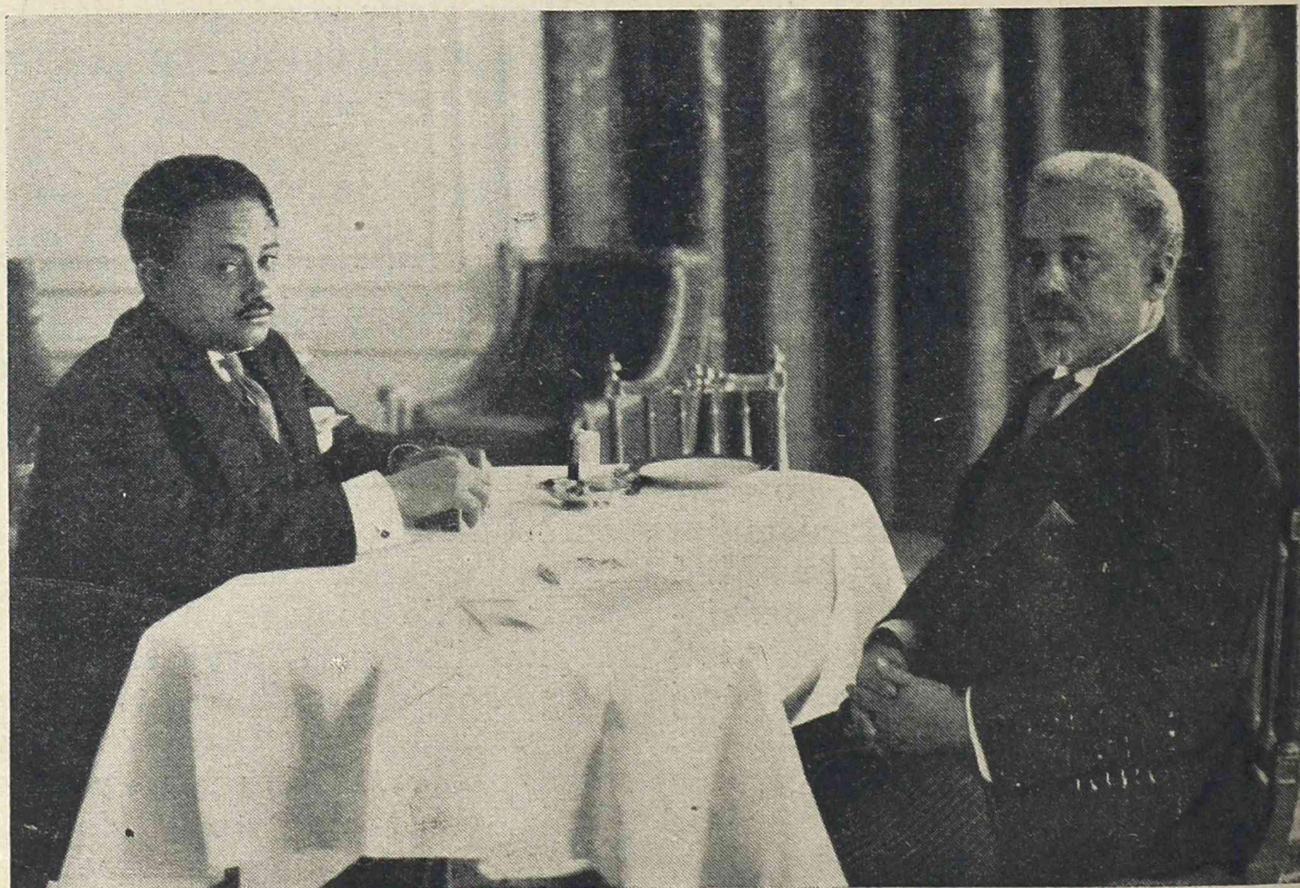
Topiel czarna migotała tysiącem ogników błędnych. W blasku ich fosforycznym gromada upiorów pląsała. Przewodził pop w riasie zielonej. W pewnym punkcie bagniska, jak dwa srebrne grążele, ramiona wątłe wystrzeliły tam i same ruszające palcami, jak gdyby dla chwytu szukając oparcia... Pop podał krzyż złocisty i postać Olgi przejrzysta wychyliła się z bagna. Zawirowała ponad tłumem modlącym się do niej ze złożonemi rękoma. Ofiara — stała się bogiem— przedmiotem uwielbienia...

Nagle z ponad lasu, jak kula purpurowa, spadło na Olgę serce skrwawione. Cień Olgi serce pochwycił i wzbijał się coraz wyżej.

W pewnej chwili cień jej męża z różą rozkwitłą zamiast serca, na spotkanie ukochanej pospieszył. Mary połączyły się w jedność, wnikając w siebie wzajemnie. Na ziemi głucho grała muzyka dział przeklęta, ale Olga i Mika byli poza cierpieniem...

[1]) Jak żywa — malowana. Nawet patrzeć nie trzeba. W ogień rzucę, niech zginie, a to jeszcze dusić przyjdzie...

Poseł etjopski w Warszawie



POSEŁ ETJOPSKI W PARYŻU I LONDYNIE, P. BEDIRONDO ZELLEKE AHUEDEOU, W TOWARZYSTWIE RADCY TAGAGUE, KTÓRY PRZYBYŁ DO WARSZAWY W CHARAKTERZE SPECJALNEGO WYSŁANNIKA CESARZA ETJOPSKIEGO HEILE SELLASIE Z PODZIĘKOWANIEM ZA DELEGOWANIE POS. DZIEDUSZYCKIEGO NA UROCZYSTOŚCI KORONACYJNE W ADDIS ABEBIE W 1930 R. NA ZDJĘCIU POS. ETJOPSKI (NA PRAWO) W TOWARZYSTWIE RADCY TASTAE TAGAGUE (NA LEWO).



1) Józef Węgrzyn w życiu prywatnem
2) Józef Węgrzyn w komedji Szaniawskiego p. t. „Fortepian"
3) Ludwik Solski bez charakteryzacji
4) Ludwik Solski, jako Łatka w „Dożywociu" Fredry
5) Jerzy Leszczyński, jako kapitan w „Mężu z grzeczności" i
6) Jerzy Leszczyński na ulicy
7) Junosza-Stępowski, jako Stefan Batory (F. Goetel)
8) Junosza-Stępowski na spacerze
9) Bog. Samborski w sztuce Jewreinowa „Okręt sprawiedliwych"
10) Bog. Samborski w domowych pieleszach
11) Mieczysława Ćwiklińska u siebie
12) Mieczysława Ćwiklińska w słynnej komedji Fredry „Pan Jowialski"

CO GORSZE...

Ma się czasem wrażenie, że świat przechodzi ostry atak choroby św. Wita. Wszystko się trzęsie. Ciągłe wstrząsy. Ziemia się trzęsie w ostatnich kilku latach zbyt często i to nawet w miejscach dotąd trwałych, a prasa codzień przynosi wieści wstrząsające nerwami ludzi, którzy i tak już trzęsą się ze strachu przed: — „od jutra jeszcze gorzej".

Szczególniej czułą stała się prasa nasza na to, co się dzieje w Ameryce. Sympatje nasze umiemy posuwać bardzo daleko.

Coraz — to wstrząsające telegramy. Al Capone był jakiś czas bohaterem. Aliści zamknęli go. Walki butlegerów i napady bandyckie w Chicago już się przejadły.

— „Samochód z dżentelmenami we frakach stanął wieczorem przed pałacem miljardera. Goście zamaskowani położyli szwajcara jednem uderzeniem casse-tête'u na dywanie (oczywiście — „wytwornym" i „reprezentacyjnym", bo to najmodniejsze obecnie przymiotniki w Polsce, obok „propagandowego"). Weszli do salonu, gdzie kilkanaście osób, sami miljarderzy z żonami-miljarderkami (wytwornemi i reprezentacyjnemi) bawili się w cocktaile i rumbowali. „Ręce do góry" — i wszystkie klejnoty z łon dam przewędrowały do kieszeni bandytów, którzy uciekli. Miljarderzy pochowali się po kątach, bo żaden nie miał rewolweru. „Goście" ich nie tknęli, bo wiedzieli, że miljarderzy nie noszą nigdy gotówki przy sobie".

Ale to nie jest sensacja. Sensacją byłoby, gdyby się okazało, że napad zorganizowali sami miljarderzy, by odebrać żonom brylanty, potrzebne gwałtownie innym damom, coby się dało objaśnić kryzysem, lub gdyby biżuterja okazała się fałszywą, lub wreszcie gdyby miljarderzy mieli rewolwery i odebrali bandytom ich własną gotówkę.

Aliści — nowa sensacja.

Lindbergh. Ulubieniec świata. Duma Stanów Zjednoczonych.

Ukradli mu synka. Dawniej w Polsce zdarzało się to bardzo często, szczególniej na kresach, gdzie operowali cyganie. Nie było z tego powodu żadnej sensacji, tylko ciekawa powieść albo ckliwy melodramat do ludowego teatru.

Mały Lindbergh będzie historyczny, no — i drogi. Bandyci kazali sobie wypłacić 50.000 dolarów za wydanie go rodzicom. Ma dopiero 19 miesięcy ten miły bąk. Ciekawa rzecz, ile bandyci każą sobie zapłacić, gdy go porwą za rok po raz drugi, a za dwa lata po raz trzeci. L'appetit vient en mangeant". A bezkarność zapewniona.

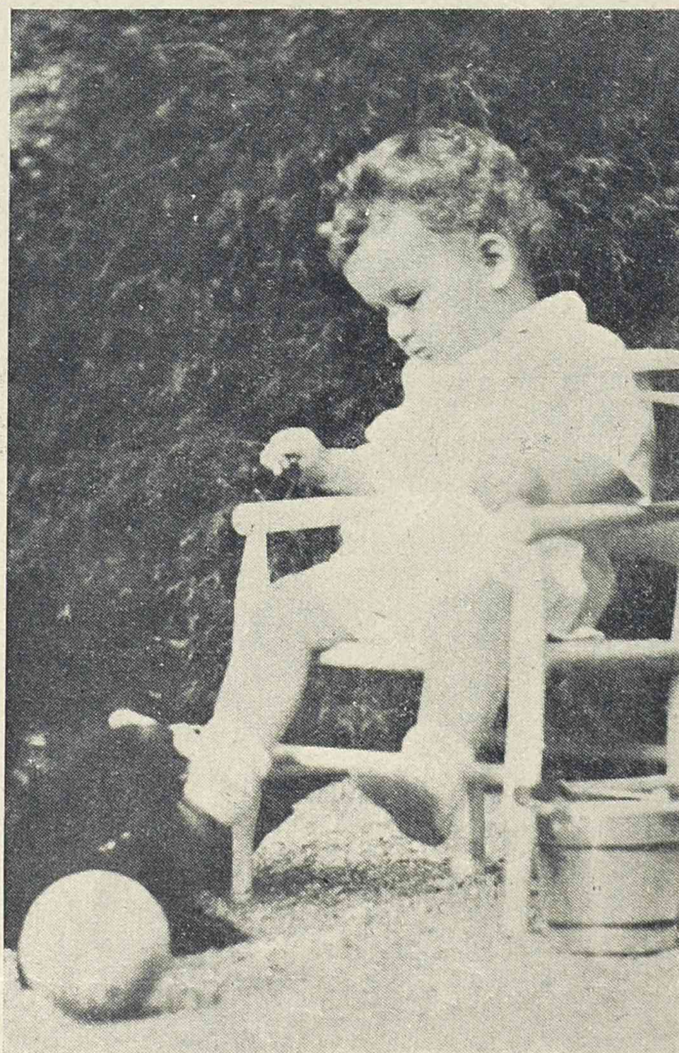
Mały Lindbergh zrujnuje rodziców, zanim dorośnie.

Lindbergh - ojciec jest człowiekiem doświadczonym. Wykup zapłaci i słowa nie piśnie policji, komu zapłacił. Synka zaś schowa do klatki i postawi przy nim detektywa, któremu będzie płacił tysiąc dolarów miesięcznie. Albo jeszcze inaczej: Lindbergh osiedli się w Polsce, kraju tanim, gdzie niktby nie żądał więcej nad sto złotych wykupu. Odzwyczailiśmy się już od liczenia sum wyższych i nasze ambicje fortuny wyżej nie sięgają.

Cała ta sprawa nie jest znów taką sensacją. To już bywało, a jeszcze będzie, szczególniej w kraju o tak wielkim rozmachu wielkich interesów, jak Ameryka.

Bandytyzm amerykański ma dwojakie pochodzenie i dwojaki charakter. Jeden jest krwawy, ohydny i pochodzi z Chicago, które jest stolicą rzeźni centralnych.

Porwany syn Lindbergha



K. A. LINDBERGH, 19-MIESIĘCZNY SYN ZNAKOMITEGO LOTNIKA, WYKRADZIONY I UKRYTY PRZEZ ZŁOCZYŃCÓW AMERYKAŃSKICH

Fot. New-York Times

Jak wiadomo, Chicago żywi całe Stany. Sto pięćdziesiąt tysięcy fachowców zajmuje się codziennie, całe życie, zarzynaniem wołów i wieprzy. Całe życie babrząc się we krwi i w jelitach, ta wielka armja zatraca oczywiście świadomość wartości jelit i ich różnorodności gatunkowej. Nieprzyjemna ta fachowość nie jest widocznie szkodliwą w wypadkach sporadycznych, uprawianych na małą skalę. Ale Chicagoska masowość tego niezbędnego zresztą mordu wytworzyła stopniowo pewną atmosferę a nawet psychozę, która stała się źródłem zjawiska, niesłusznie zresztą traktowanego, jako dla Ameryki charakterystycznego.

Centralizacja przemysłu, jak się okazuje, niezawsze jest zdrową.

Ale drugi gatunek bandytyzmu amerykańskiego brzydzi się krwią i ma inne pochodzenie, mniej brutalne. Po prostu potrzebę bogacenia się. A sposób — szwindel na wielką skalę.

Przychodzi naprz. taki pan, bardzo correct i proponuje kupno akcji towarzystwa kopalń cynku, albo źródeł nafty. Wszystkie papiery są w największym porządku. Człowiek roztropny nie kupuje walorów bez porady bankiera znajomego. Ale bałwan, których na lądzie jest tylu, co na oceanie, kupuje. Nie trzeba dodawać, że ani takiej kopalni, ani podobnego towarzystwa akcyjnego nigdy nie było i nie będzie.

To są wielkie afery — od święta.

Ale na codzień amerykanie, i to ci sami, są nadzwyczaj uczciwi. Słowo jest murowane. Termin dotrzymany. Robota wykonana. Rachunek nie przesolony. Nic nie ginie. Mają zawsze resztę do wydania. Żadnych obietnic, które się ulatniają. Żadnego czekania na nikogo. Nigdy odmowy przyjęcia interesanta. Umowa jest umową. Na każdy list odpowiedź natychmiast. Walka o byt otwarta. W wypadku — pomoc. Uprzejma informacja. Uśmiech — nawet w tłoku. Życie jak zegarek. Porządek. Wygoda. Pewność.

Na tamtych wielkich złoczyńców jest sposób. Trzeba być ostrożnym, można się ubezpieczyć, w ostateczności można nosić rewolwer.

Ale jak tu u nas strzelać do tych drobnych przestępców dnia codziennego, od których opędzić się nie można, bo jest ich miljon.

Doprawdy sam nie wiem — co gorsze.

Gustaw Olechowski

Teatr „Morskie Oko": rewja „Złota defilada" Teatr „Kameleon": „Kobiety mają szanse"





P. P. SŁUPCZYŃSKI I ANTOSZÓWNA Fot. St. Brzozowski P. P. ŻELICHOWSKA I ŻABCZYŃSKI

Warszawskie Teatry Miejskie

W Teatrze Narodowym „Don Karlos" święci dalsze, niebywałe tryumfy. Po krótkiej niedyspozycji, Węgrzyn powrócił do roli markiza Pozy (zastępował go podczas choroby Socha, który z dnia na dzień nauczył się olbrzymiej roli, by nie przerwać ciągu przedstawień). Publiczność co wieczór wypełnia na „Don Karlosie" szczelnie widownię. Przyjęcie dzieła i artystów entuzjastyczne. W Teatrze Nowym „Święty Płomień" coraz bardziej utrwala swoje powodzenie. Im dalej w las, tem więcej widzów. Krytyka zbagatelizowała ten głęboki, ludzki dramat. Ale publiczność zareagowała przeciw nieoględnie wydanemu wyrokowi: widownia Teatru Nowego jest wciąż wypełniona, wzruszająca gra pani Dulęby wyciska łzy. W Teatrze Letnim „Wesoły Wspólnik" dostał urlop. Na scenie goszczą „Wicek i Wacek", niefrasobliwe, kochane chłopaki, które czterdzieści lat temu chwyciły za serca miłośników teatru i dotychczas je w garści trzymają. Kurnakowicz i Hnydziński świetnie odtwarzają rolę głównych bohaterów. Publiczność bawi się doskonale.

Próby z „Banku Nemo", najnowszej komedji Verneuil'a (w przekładzie G. Olechowskiego) dobiegają końca. Premjera odbędzie się przed Świętami. W głównych rolach: Jerzy Leszczyński, Fertner, Kurnakowicz, Gorczyńska. Komedja ta jest ostrą satyrą na powojenne stosunki finansowo-polityczne. Wątku dostarczyła autorowi rozgłośna sprawa Oustric'a, który zaczął swą karjerę jako kelner kawiarniany, w ciągu kilku lat dorobił się miljardowego majątku, wszystko stracił i zarwał tysiące ludzi... Teraz właśnie w Paryżu toczy się jego proces: „Banque Nemo" odsłania zakulisowe tajemnice powodzenia tego rodzaju nowoczesnych Cagliostrów.

MORSKIE OKO. Najnowszy program („Złota Defilada") utrwala korzystną opinję o tym teatrzyku. Przedewszystkiem jest powabne, urozmaicone. Nie nudzi publiczności silący się daremnie na dowcip konferensier; nie ma nadmiernie wygórowanych ambicji literackich. Ale za to — numer za numerem — przewijają się, w ładnych dekoracjach, ładnie pomyślane obrazy, doskonale wyreżyserowane i ujęte. Gdyby tekst był trochę lepszy, gdyby dodać cokolwiek więcej dowcipu, całość nabrałaby jeszcze pełniejszej wartości. Ale tak, jak jest, „Złota Defilada" jest widowiskiem nader miłem. Gruszczyński śpiewa cudownie swoje egzotyczne piosenki, Zizi Halama z Parnelem stanowią niezrównaną parę taneczną. Halama — niczem wiotka Terpsychora, Parnell — młody tancerz grecki, z tych, w których kochał się Tyberjusz. Sokołowska nabrała werwy i humoru, Skonieczny jest przezabawny. Nowym nabytkiem jest p. Ola Obarska, jasnowłosa, zjawisko wcale interesujące i obiecujące.

SYSTEM SAMOOBRONY DLA KOBIET

Sensacją klubów sportowych na Zachodzie jest obecnie nowy system samoobrony ręcznej przed napadami, zwany „judo". W przeciwieństwie do znanego japońskiego „jiu-jitsu", systemu bardzo skutecznego, lecz wymagającego pewnej siły i wyrobienia fizycznego, z tego też względu bardziej odpowiedniego dla mężczyzn, — system „judo" wymaga jedynie zręczności i specjalnie nadaje się dla kobiet, zapewniając skuteczną obronę przed znacznie nawet silniejszym napastnikiem.

Nowy system opiera się na znanej zasadzie, że z pośród dwu walczących ten będzie górą, kto lepiej utrzyma własną równowagę i potrafi wykorzystać moment, gdy straci ją przeciwnik; jeden umiejętny ruch wówczas wystarcza, by ten całym ciężarem swego, pochylonego wypadowo ku przodowi, ciała runął na ziemię. Nie tyle więc silne mięśnie i wyrobienie fizyczne, ile znajomość poszczególnych ruchów i chwytów obronnych jest podstawą systemu „judo".

Dlatego już pierwsze ćwiczenia polegają na tem, aby, zatrzymawszy własną pozycję, wyprowadzić z równowagi przeciwnika, nie dając mu czasu do jej odzyskania. I tu właśnie występuje najciekawsza cecha systemu: oto im gwałtowniejszy jest atak, im silniejszy fizycznie napastnik, tem łatwiejszem staje się odparcie dla słabszej strony.

Najlepiej przekona o tem kilka wariantów samoobrony tego systemu.

1) *Oto kobieta napadnięta zostaje z przodu i chwycona przez napastnika obiema rękoma za gardło.*

Obrona polega na tem, aby, trzymając się mocno na nogach, uczynić pół kroku lewą nogą w tył. Napastnik musi się wówczas pochylić ku przodowi, unosząc się na palcach. Szybki obrót na palcach prawej nogi i zarzucenie prawego ramienia na lewe ramię napastnika w ten sposób, by podbródek znalazł się na linji ramienia. Napastnik musi obniżyć pozycję swej ręki i zwolnić siłę nacisku na gardło, a pochylając się przy tem raptownie ku przodowi, odsłania swą twarz. Wówczas szybkim wyrzutem łokcia lub ręki uderzyć napastnika między oczy lub w tył głowy. Napastnik odrywa ręce od szyi, zasłaniając twarz i jeśli nie natychmiast pada w tył, tracąc równowagę, to runie pod następnem uderzeniem.



...PRZERZUCONY PRZEZ GŁOWĘ

2) *Napadnięta z tyłu kobieta zostaje przez napastnika chwycona obiema rękoma za gardło.*

Należy wtedy przez szybkie pochylenie głowy i ramion ku przodowi, spowodować napastnika do uniesienia się na palcach i pochylenia się również ku przodowi. Wówczas szybko zrobić pół obrotu w lewo, chwycić napastnika za ramiona i, wracając do poprzedniej pozycji, pociągnąć napastnika za sobą. Traci on wówczas równowagę, ponieważ był na palcach pochylony ku przodowi, łatwo więc daje się szybkim ruchem ramion pociągnąć i w rezultacie całym ciężarem pada na plecy, fikając w powietrzu koziołka. Taki przerzut sprowadza dlań zazwyczaj utratę przytomności.

3) *Kobieta napadnięta zostaje od przodu, przyczem napastnik zamierza się na nią kijem.*

Trzeba chwycić napastnika za rękę powyżej łokcia. Chwyt ten paraliżuje każdy silniejszy ruch ręki napastnika. Następnie podbić nogę napastnika kolanem, naciskając równocześnie jego ramię ku tyłowi. Napastnik stara się obrócić bokiem, by uchwycić napadniętą, wówczas silne szarpnięcie jego ramienia z równoczesnem podbiciem jego nogi kolanem powoduje utratę równowagi i wali go na ziemię.

4) *Napadnięta z tyłu, chwycona zostaje przez napastnika wpół.*

Obrona polega na tem, aby szybkim ruchem zarzucić ramiona w tył, starając się chwycić napastnika za głowę, a następnie raptownie pochylić się ku przodowi, przerzucając go przez siebie. Padając z takiego przerzutu, uderza tak silnie głową o bruk, że traci przytomność przynajmniej na chwilę, która wystarczyć





..GDY KOBIETA ZOSTANIE OBALONA NA ZIEMIĘ...

...ZA CHWILĘ RUNIĘ NA ZIEMIĘ...

...NAPASTNIK CAŁYM CIĘŻAREM PADA NA PLECY

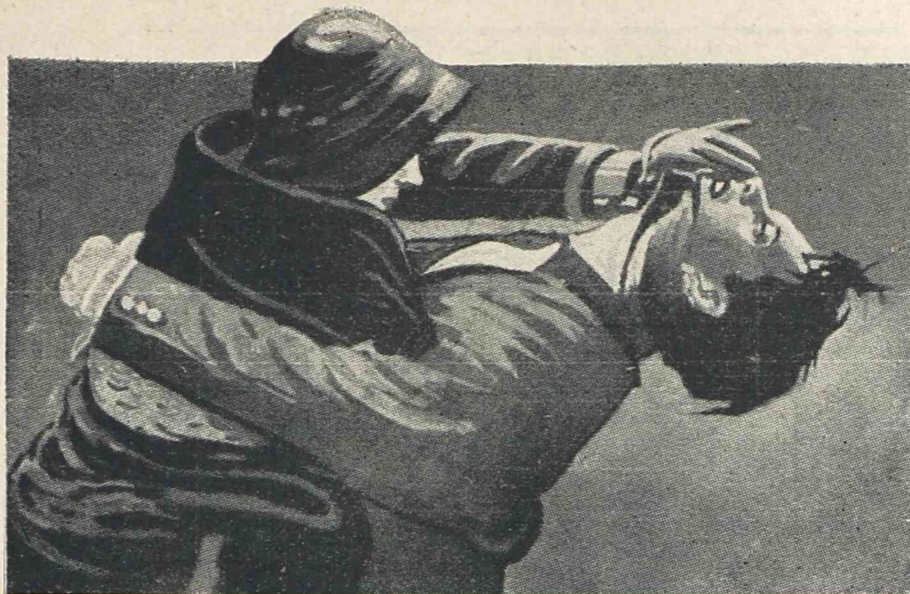
może napadniętej na wezwanie po mocy i oddanie napastnika w ręce policji.

5) *Napastnik jedną ręką pochwycił napadniętą wpół, drugą zaś za gardło.*

Skuteczna w tym wypadku obrona wymaga, aby nasadą dłoni uderzyć napastnika pod brodę, odpychając ją ku tyłowi w ten sposób, aby wielki palec prawej ręki trafił na górną wargę napastnika, pod nos. Wówczas napastnik musi gwałtownie odrzucić się ku tyłowi. W momencie, gdy traci równowagę, należy podbić mu nogę, co spowoduje, że całym ciężarem pada na ziemię.

6) *Kobieta zostaje napadnięta i obalona na ziemię.*

W tym wypadku należy pociągnąć napastnika za sobą. W chwili, gdy ten pada, silnym wyrzutem prawej nogi mocno kopnąć go w brzuch. Uderzenie takie bywa zazwyczaj tak bolesne, że napastnik straci przytomność. Ten warjant samoobrony wymaga jednak pewnego wyrobienia i umiejętności bezbolesnego upadania na ziemię. W momencie upadku należy odprężyć ciało i padać miękko, wówczas nie traci się zdolności do walki, co następuje przy upadku naprężonem tułowiem.



...UDERZYĆ NAPASTNIKA POD BRODĘ...

Jak z powyższego widać, samoobrona według systemu „judo" może być błyskawiczna w skutkach i nie wymaga, po za znajomością odpowiednich chwytów, dużej fizycznej siły i wyrobienia. Decydujący moment kontrataku przypada na chwilę, gdy napastnik jest najpewniejszy siebie.

System „judo" — poza możnością skutecznej samoobrony, wyrabia sprężystość, ćwiczy mięśnie i rozwija szybkość orjentacji, co samo w sobie nie jest rzeczą do pogardzenia i co w każdym razie opłaca się zdobyć kosztem kilkunastu godzin ćwiczeń.

Wik.



Jadwiga Smosarska, najświetniejsza gwiazda na naszym widnokręgu filmowym, w nowym filmie „Sfinksa" „Rok 1914", który to film wyświetlany jest obecnie w kinie „Atlantic". Smosarska wyróżnia się z pośród licznego zespołu artystów, biorących udział w tym filmie, grą pełną wyrazu i wdzięku.

PIERWSZA FILJA CUKIERNI TURECKIEJ „BOSFOR".

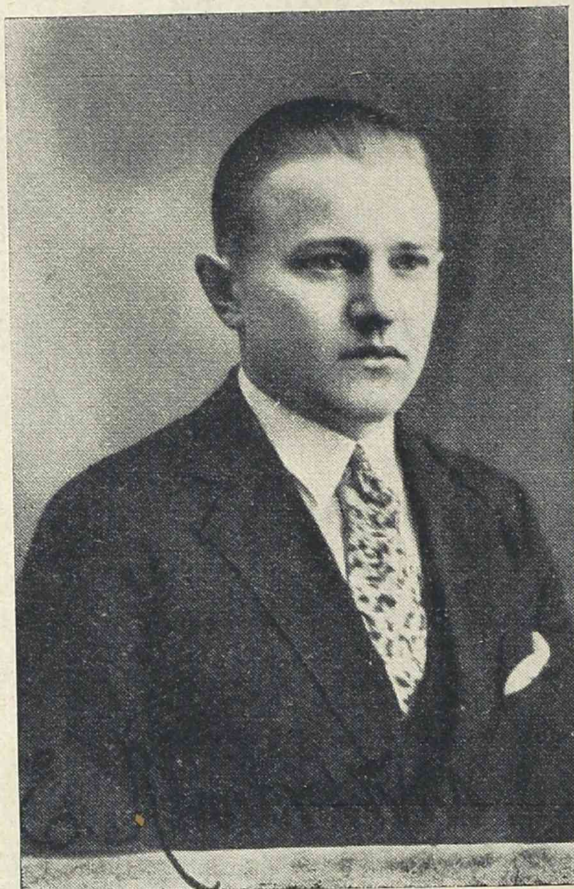


W bieżącym miesiącu nastąpiło otwarcie I-ej filji znanej ze swych doskonałych wyrobów cukierni i piekarni tureckiej „Bosfor", mającej główną siedzibę przy ul. Marszałkowskiej № 107.

Uroczystość otwarcia zaszczycili swą obecnością: ambasador Turcji Dżewat-Bey (1) z małżonką (2), poseł Persji Esad-Han-Bahadir (3), oraz przedstawiciele prasy i zaproszeni goście, których właściciel „Bosforu", p. Mustafa Pirim Zade (4) i kierownik filji, p. Hamdi Mesut-Bey serdecznie podejmowali w nowym, gustownie i wygodnie urządzonym lokalu.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY





Ś. P. POR. WACŁAW KARBOWSKI I Ś. P. SZOFER EDWARD KOMOROWSKI — OBAJ Z BRYGADY POLESKIEJ KORPUSU OCHRONY POGRANICZA, POLEGLI NA POSTERUNKU ŚMIERCIĄ ŻOŁNIERSKĄ W ŁUNIŃCU, DNIA 29 LUTEGO 1932 ROKU

Wszystkim poszukującym ratunku

przy grypie, anginie, malarji, krztuścu, bólach głowy i wszelkich chorobach powstających na tle przeziębienia i złej przemiany materji należy zaopatrzyć się w zagraniczne przyrodo-lecznicze pigułki „Original", wyłącznej produkcji Indyjsko-Holenderskiego Przemysłu Farmaceutycznego N. V. Bandoengsche Kininefabriek na wyspie Jawie i w Holandji. Pigułki „Original" należą do leków naturalno-roślinnych, a nie chemiczno-syntetycznych lub narkotycznych. Pigułki „Original" są wypuszczone i ostatnio do lecznictwa na całym świecie wprowadzone w celu upamiętnienia 300-lecia stosowania chininy w Europie, przyznania jej pierwszeństwa w medycynie oraz uznania przez wszystkich lekarzy świata chininy za jeden z najskuteczniejszych leków na świecie wśród wszystkich środków dodatnio działających na serce, a stosowanych we wszystkich wyżej wymienionych oraz wielu innych tym podobnych chorobach. Pigułki „Original" należy żądać we wszystkich aptekach w cenie zł. 2.50 za rurkę, zawierającą 50 szt. pigułek z przepisem sposobu użycia załączonym do każdej rurki. W razie nieposiadania pigułek „Original" przez którąś z aptek w Polsce, można zwracać się bezpośrednio do Generalnego Reprezentanta Indyjsko-Holenderskiego Przemysłu Farmaceutycznego, adresując: Rymowicz, ul. Marszałka Focha 8, Warszawa, proszę zapisać adres: Rymowicz, ulica Marszałka Focha Nr. 8, Warszawa.

PRZYJACIEL W POTRZEBIE

Firma Ćwik w Duńsku w tych dniach także ogłosiła bankructwo. Jeszcze kilka tygodni temu zdawałoby się to niemożliwem, gdyż firma ta nietylko, że należała do najstarszych i najbardziej poważnych, lecz także do najsolidniejszych w mieście. — Dyrektor widział się zmuszonym zwolnić cały personel z wyjątkiem jedynie buchaltera. — Jak słychać z wiarogodnego źródła, wierzyciele wszyscy zostali pospłacani. — Na dyrektora jednak te przejścia podziałały fatalnie; dziś rano skarżył się buchalterowi na okropny wprost ból głowy. — Wierny człowiek dodawał mu otuchy i perswadował: „Panie dyrektorze, krach był nieunikniony jednakże nie może się Pan poddawać nieszczęściu i dopuścić do tego, aby zdrowie ucierpiało. — Niechże Pan weźmie 2 tabletki Aspiryny i odpocznie godzinkę. Ażeby interes dźwignąć z upadku, potrzeba spokojnej głowy: do tego pomoże Panu najlepiej poczciwa Aspiryna.

WINIARNIA „MERRY"

Rynek polski jest tak „nawodniony" różnego rodzaju surogatami wina, czy to owocowemi, czy też sztucznemi, że dla prawdziwego smakosza kwestja lampki dobrego wina stała się czemś nieosiągalnem. Nawet wino krajowe, jak na obecne kryzysowe czasy, kosztuje w warszawskich restauracjach i winiarniach bardzo drogo.

Należy więc powitać z uznaniem wysiłek Baru „Merry", przy ul. Marszałkowskiej Nr. 148, którego zarząd zdołał nawiązać stosunki handlowe z winnicami węgierskiemi i sprowadza gwarantowane oryginalne wina węgierskie wprost z winnic o światowej sławie, jak Waldbott — Tolcsva, Arcybiskupstwa Kalocsa i Dra A. Steinera na Węgrzech.

Dzięki temu, iż Winiarnia „Merry" unika kosztownego pośrednictwa, ceny tych win są niesłychanie niskie i wynoszą od zł. 4 do 12 za litr doskonałego wina. Jest to więc jedyne źródło, w którem każdy się będzie mógł zaopatrzyć na nadchodzące Święta w dobre oryginalne wina po bardzo przystępnej cenie.

Przy winiarni znajduje się Bar, cieszący się wielkiem powodzeniem dzięki swej znakomitej kuchni. Specjalną atrakcją baru jest namiot wschodni, w którym mile upływa czas przy smacznym posiłku i lampce tęgiego węgrzyna.

OSZCZĘDNOŚĆ W GOSPODARSTWIE

W gospodarstwie domowem jeszcze bardziej oszczędzać nie jest zadaniem łatwem, a jednak są drogi wiodące do celu. Należy wybrać z nich te, które nie dają zbytnio odczuwać ograniczeń nakazanych przez oszczędność. Dużo zyskujemy już przez to, gdy sami pieczemy wyborne ciasta świąteczne podnoszące nastrój wielkanocny. Niewątpliwie znajdzie się Pani w szeregu miljonów skrzętnych gospodyń, które odnosiły poważne korzyści przez to, że same piekły placki, torty i ciastka, używając proszku do pieczenia Dra Oetkera. Spróbujmy, a przekonamy się.



HUMOR ZAGRANICZNY



— *Jak myślisz, Jim, czy jesteśmy ostatnimi nieboszczykami wielkiej wojny czy też pierwszymi najbliższej?*

„Simplicissimus"

Piekielna maszyna na Starem Mieście

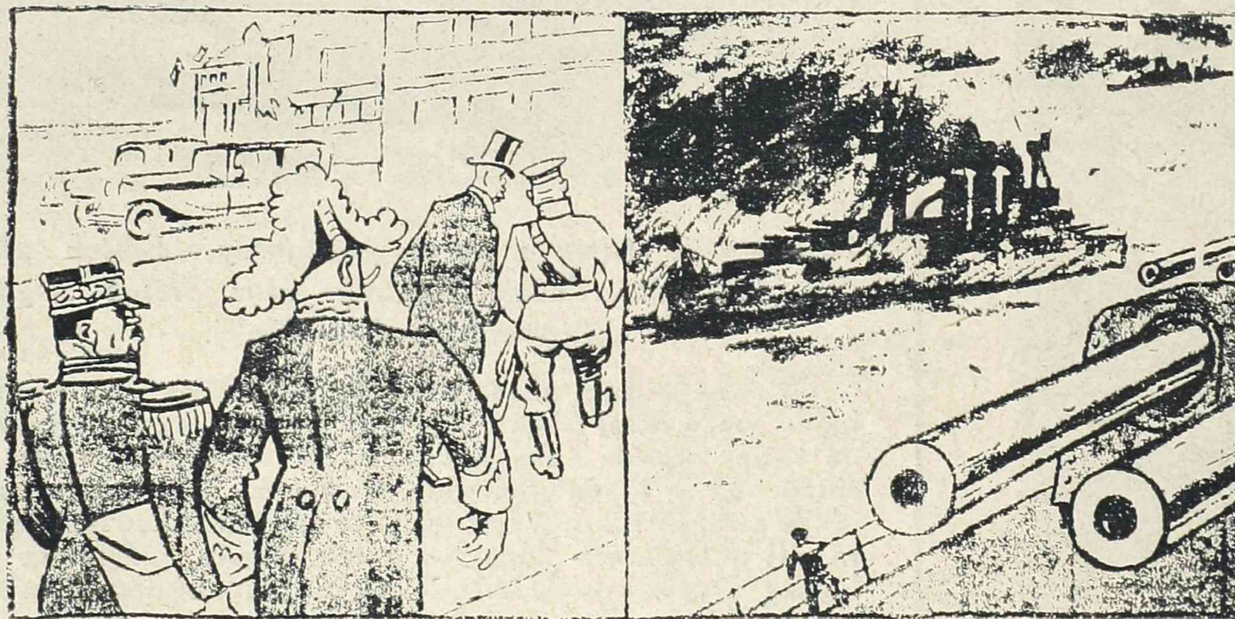


Bohaterowie filmu z życia gazeciarzy „Legjon ulicy" reż. A. Forda: Tadzio Fijewski oraz Stefek Rogulski (wytwórnia „Leo-Film").

Pewnego dnia mieszkańcy Starego Miasta byli świadkami niezwykłej sceny. Około godziny czwartej popoł. na rynek wpada cała drużyna na rowerach, a za nią samochód z jakąś piekielną maszyną. Wyglądało to na jakąś awanturniczą wyprawę; lecz nim zaciekawieni i przerażeni mieszkańcy zdążyli się zastanowić, już nasza djabelska drużyna popędziła dalej po innych ulicach miasta, siejąc przestrach i zaciekawienie. Uczestnicy nie zwracali uwagi ani na tramwaje, ani na wozy, pędząc naoślep przez najruchliwsze ulice i tylko po stronie słonecznej. Wreszcie gdy już słońce zupełnie się skryło, widziano ich na Nowym Świecie 39. Bo też byli to uczestnicy biegu kolarskiego, który stanowi etap filmu „Legjon ulicy". Piekielna maszyna to aparat do zdjęć, który zdejmował kolarzy w biegu.

Ceny biletów do Teatru Narodowego, Letniego i Nowego dla prenumeratorów i nabywców „Świata" zniżone są do połowy. Kupon z 50% ustępstwem znajduje się na okładce.

WIELKIE MOCARSTWA POSYŁAJĄ:



do Genewy—dyplomatów do Szanghaju—pancerniki z armatami

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt.	Zł. 700.—.			
„ II	„ 600.—,	1/2 300.—,	1/4 150.—,	1/8 75.—
„ III	„ 450.—,	1/2 225.—,	1/4 112.50	
„ IV	„ 600.—,	1/2 300.—		
Za tekstem	Zł. 600.—,	1/2 300.—,	1/4 150.—	

Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
Dział Tam Kupujcie „ „ „ „ „ „ 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie „Świata": dla prowincji Tow. „Ruch", Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87, dla Warszawy: „Czytajcie" Krak.-Przedm. 60, telefon 210-00.

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesiecznie 6.— zł., kwart. 18.— zł., półr. 34.— zł., rocznie 68 zł., z odnoszeniem do domu mies. 6.50 zł., kwart. 19.50 zł., półr. 37.— zł., rocznie 74.— zł., na prowincji mies. 7.— zł., kwart. 21.— zł., półr. 40.— zł., rocznie 80.— zł. Zagranicą mies. 9.— zł., kwart. 27.— zł., półr. 52.— zł., rocznie 104.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

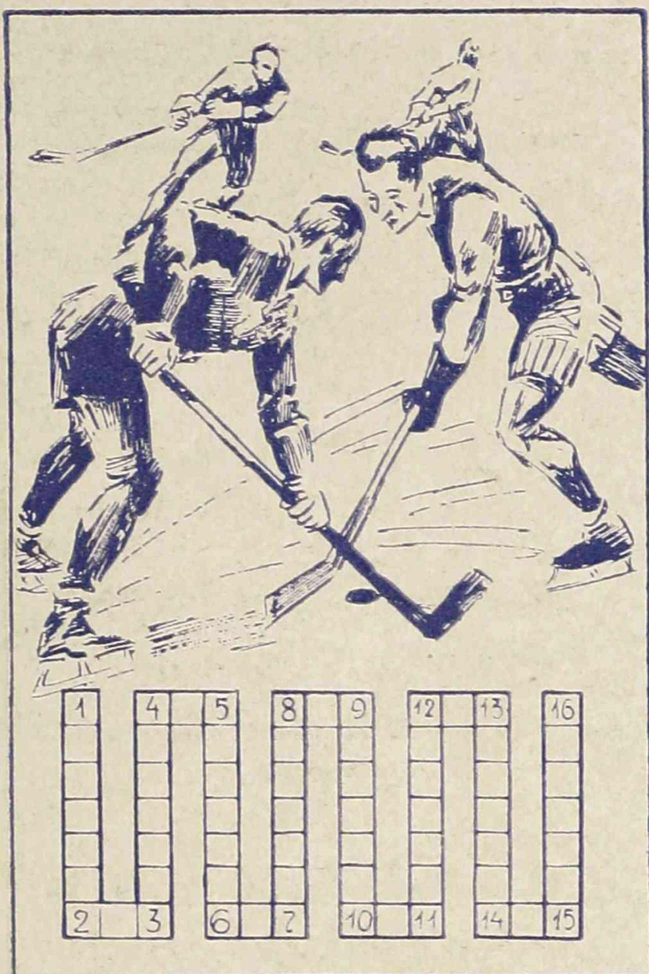
CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI **1 zł. 40 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.* Druk. Galewski i Dau, Warszawa



№ 19. (122) WĘŻOWNICA

(Za rozwiązanie 3 punkty).



Znaczenie wyrazów: 1—2. Przenoszący ciężary, 2—3. Przyjaciel Mickiewicza, 3—4. Choroba, 4—5. Rodzaj głosu, 5—6. Syn Odyssa, 6—7. Ptak, 7—8. Roślina egzotyczna, której łodygi używane są, jako przyprawa do ciast, 8—9. Rzeka w Afryce, 9—10. Miejscowość na Śląsku, słynna bitwą z Tatarami, 10—11. Miasto w Finlandji, 11—12. Rodzaj kolumny, 12—13. Tytuł powieści Kiplinga, 13—14. Kopalina, 14—15. Broń dzikich, 15—16. Broń palna.

NAGRODY KSIĄŻKOWE wylosowano dla:

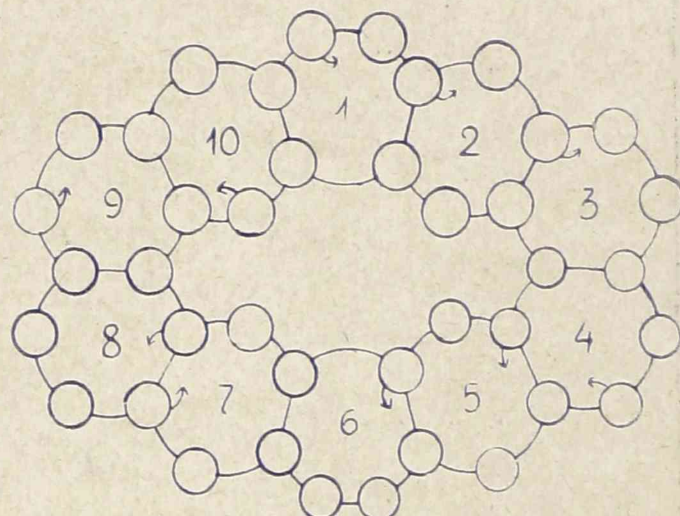
p. *Eugenji Gonczarówny* z Warszawy— Lorentowicza „Dwadzieścia lat teatru",

p. *Janiny Wróblewskiej* z Cukrowni „Sójki" — Fr. Siedleckiego „Helena Modrzejewska",

p. *Ignacego Kunickiego* z Lublina — K. Makuszyńskiego „Wiersze wybrane".

№ 20. (123) ZADANIE WIROWE

(Za rozwiązanie 3 punkty).



W kółeczka wstawić litery w ten sposób, aby utworzyły 10 wyrazów sześcioliterowych, czytanych od kółka ze strzałką w kierunku biegu wskazówki zegara.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej: szkoda, 2. Zajęcie, praca, 3. Wyspa na Oceanie Indyjskim, 4. Inaczej: biadanie, 5. Rodzaj tkaniny, 6. Rzeka w Anglji, 7. Inaczej: z miejsca, na początku, 8. Imię żeńskie, 9. Przyrząd mechaniczny, 10. Część ubioru męskiego.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z № 6-go

№ 7. KWADRATY MAGICZNE: Tran, Rani, Antena, Niemen, Newada, Anatol, Dola, Sala.

№ 8. ZADANIE ZEGAROWE: Kret, Ala, Akt, Szum, Afera, Artur, Kort, Roma, Smar, Klon, Safes, Aorta, Tabu, Aga, Lit, Lawa; Kasa, Tama, Afekt, Tatar, Atu, Rum, Kłos, Rysa, Opal, Ałun, Mus, Ryfka, Karat, Oka, Stał, Aula.

№ 9. ZADANIE WIROWE: Karawana, Folwark, Elaborat, Filipiny, Robotnik, Kalambur, Katilina, Rynsztok, Straszak.

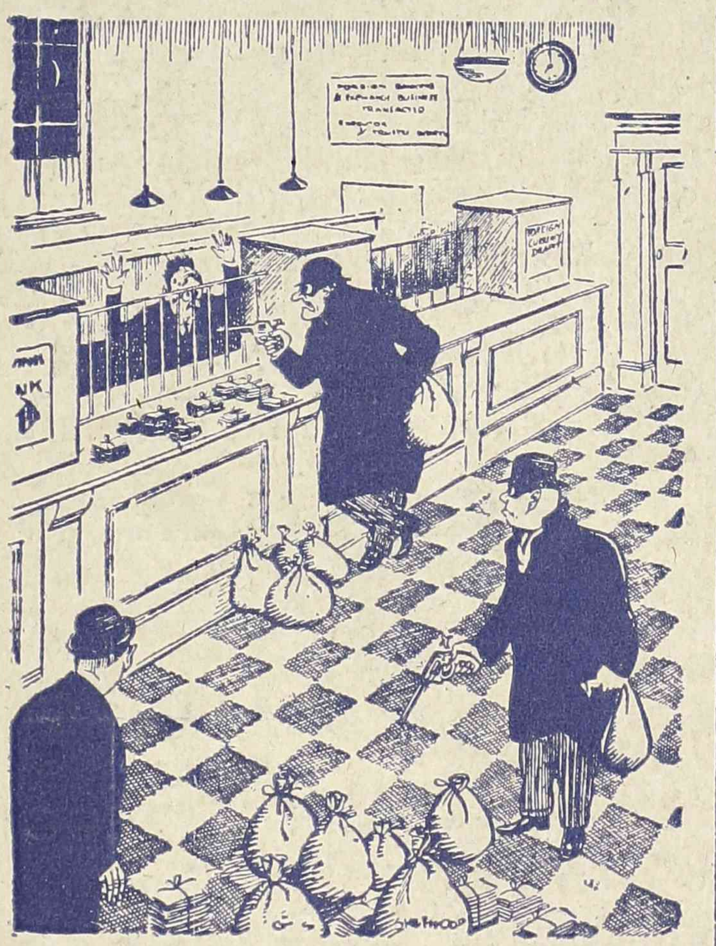
Trafne rozwiązania nadesłali:

pp. Bahr Adam (11), Bojarski Tadeusz (11), Czyżewski Aleksander (8), Dąbrowska Stanisława (8), Gonczarówna Eugenja (11), Herbstmanówna Dorota (11), Jarkowska Aurelja (11), Kicińska Stefanja (8), Klimczak Roman (11), Koc Zygmunt (8), Kozłowski Czesław (11), por. Kreyser Edward (8), Mikowska St. (11), Roykiewicz Wacław (11), Sapiejewski J. (11), Sławnicki Michał (11), Stratilato Jan (11), Sułkowska Leontyna (6), Tietz Zygmunt (11), Uklański Aleksander (11), Zborowska Teresa (3), Żukowska Irena (8) — *z Warszawy,* oraz

pp. Aleksandrowicz Jan (6) — ze Lwowa, Bugajska Marja (11) — z Kłobucka, Dorszewski Rudolf (11) — ze Świecia, Fijałkowski Kazimierz (8) — ze Zgierza, Głaziński Aleksander (6) — z Mińska Mazowieckiego, Grodzicki Józef (6) — z Brześcia n B., Iwańczykowa Marja (11) — z maj. Siernicze Wielkie, Janicka Zofja (6) — z Grudziądza, Jurkiewicz Eugenjusz (11) — z Wilna, Kamiński Władysław (11) — z Sochaczewa, Kiersnowski Józef (6) — z Baranowicz, Kowalska Marja (6) — z Włodzimierza, Krauze Józef (11) — z Żyrardowa, Krupińska Aniela (3) — z Łodzi, Kunicki Ignacy (6) — z Lublina, Kwiekowa Jadwiga (11) — z Cukrowni „Dobrzelin", Łukasiewicz Michał (6) — z Białegostoku, Makowski Ignacy (6) — z Grodna, Malinowski Stefan (6) — ze Lwowa, „Maryśka z Pohulanki" (11) — z Wilna, inż. Modrzejewski Józef (11) — z Lublina, Moszczyński Edward (11) — z Szamotuł, Olszewska Irena (6) — z Dęblina, Petrych Jan (11) — z Wronek, Pieracki Zygmunt (11) — z Wilna, Rakowiecka Helena (11) — z Lublina, Rusicka Irena (6) — z Krakowa, Rowicki Tadeusz (11) — z Milanówka, Sawicka Karolina (11) — z Białegostoku, Sołecki Michał (11) — z Wołomina, Sosnowski Kazimierz (11) — z Katowic, Stasiewicz Czesław (8) — z Równego, Szeliga Barbara (8) — z Siedlec, Tarnowski Władysław (8) — z Grodziska, „Tolek z Królewszczyzny" (11), Tyblewski Wacław (11) — z Poznania, Wróblewska Janina (11) — z Cukrowni „Sójki", Zabłocki Gabrjel (6) — z Łucka, Zakrzewski Leon (3) — z Radomia, Zawadzka Anna (11) — z Ciechanowa, Życzyński Bohdan (11) — z Nowogródka.

HUMOR ZAGRANICZNY

PODCZAS NAPADU NA BANK.



Szef bandytów do kasjera: — A teraz proszę o trochę drobnych, abyśmy mieli na tramwaj.

Druk. Galewski i Dau, Warszawa